ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XXXVIII.

DNIA 16. WRZEŚNIA 1911 R.

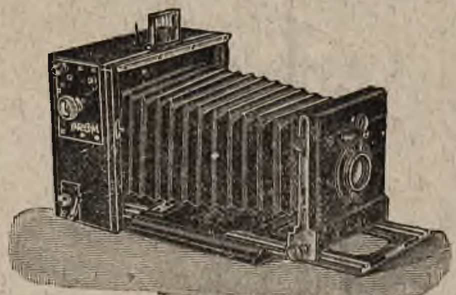
Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ" („KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW CHORĄŻCZYZNY 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".

M. LELIWA:	*Z zagadnień irredenty polskiej.*
J. KADEN:	*Kordyan Słowackiego.*
B. ZAHORSKI:	*Poezye.*
J. KLECZYŃSKI:	*Julek (portret współczesny).*
S. TWERDOCHLIB:	*Z poezyi Tarasa Szewczenki.*
M. RETTINGER:	*Bergsona studyum o komizmie.*
E. KIPA:	*Wojna 1809 r.*
SILVA RERUM:	*Salwowanie powagi Rady szkolnej. — Ś. p. kardynał Puzyna. — Farsa prof. Starzyńskiego. — Prawda w sprawie rapperswilskiej. — Jedna z darowizn kustosza.*







ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI.

M. LELIWA.

Z ZAGADNIEŃ IRREDENTY POLSKIEJ.



Sprawa, od rzeczywistości politycznej, a raczej od tego, co rzeczywistością polityczną powinno się zwać, odległa nieskończenie. Niemal prosić o przebaczenie wypada, że z mroków konspiracyjnego marzycielstwa — tak zwie się to w mowie potocznej — wyciągamy ją na białe, otwarte karty pisma peryodycznego. Gdyby „Przegląd Polski" wśród bolesnej swojej Golgoty nie posiadł trudnej umiejętności niewidzenia tego, czego widzieć się nie chce, to sam artykułu naszego tytuł wywołałby stamtąd potok wymownych „doświadczeń i rozmyślań" przy akompaniamencie rozdzieranych szat, łamiących się rąk. Wybaczcie, ludzie polityki realnej, wybaczcie, pogromcy staro- i neoromantycznych politycznych marzeń. Niechętnie piszę. Do pisania zmusił mnie kolega Stefański. Zamieściło „Życie" w ostatnich kilku zeszytach rzecz jego poważną, przemyślaną głęboko, na poważnych studyach opartą, o stosunku Królestwa do Rosyi w ostatniem pięcioleciu.[1]) Przez pięć rozdziałów myśli nasze szły zgodnie i w jednym szeregu — rozeszły się w szóstym. W wywodach Stefańskiego o polityce niepodległościowej w pięcioleciu ostatniem jest coś, co do odpowiedzi zmusza. A gdy ośmielam się głos zabrać, to zaznaczyć muszę odrazu, że nie ważę się reprezentować tutaj poglądów żadnego stronnictwa, żadnej grupy ideowej. Mówię również o rzeczach, które, podobnie jak Stefański, po wierzchu przeważnie znam, z gazeciarskich notatek, z lapidarnych biuletynów „Robotnika", z niedomówionych, urywkowych rozważań „Przedświtu", trochę z owych rozmów długich i cichych z tym, lub innym rozbitkiem burzy rewolucyjnej. Równie, jak Stefański do tego doszedłem, że spokojnie mogę o tych rzeczach myśleć i pisać, a jeśli czasem dreszcz przejdzie, skurcz dławiący pochwyci gardło lub pięści się zacisną — to ręczę, że tylko w tym stopniu, jak wówczas, gdy się rozważa noc Belwederską czy Iganie, Ostrołękę czy szturm Warszawy. Rzadko już tylko słychać tam nad Wisłą, wystrzały „mauzerków". Rzadko już nawet pracuje szubienica. Można już myśleć poważnie o historycznem wejrzeniu na to, co działo się w Polsce przed czterema, pięciu czy sześciu laty.

Więc nie to pisać mnie zmusza, że Stefański nazywa działalność Bojowej Organizacyi Polskiej Partyi Socyalistycznej bandytyzmem politycznym. Niech będzie i polityczny bandytyzm. Owszem, termin ten brzmi, jakby wyrok Nemezis

[1]) „Życie" nr. XXII, XXIII, XXXI, XXXIV, XXXVI.

dziejowej. Był czas, gdy wojsko patryotów polskich uganiało się po bagnach Pontyjskich, w górach Abruzzów, wśród skał Kalabryi za buntownikami włoskimi, wycinając ich i wystrzeliwując jako rozbójników. Był czas, gdyśmy murzynom-powstańcom na San Domingo nie dawali pardonu. Był czas, gdyśmy tępili „brygantów" na całym półwyspie pirenejskim, a w odwecie za storturowanych, podstępnie zarzniętych, lub żywcem upieczonych towarzyszy wycinali całe wsie hiszpańskie. Rzecz słuszna, aby nasz własny historyk żyjącej Polski zakwalifikował próbę wskrzeszenia w Polsce tradycyi walk orężnych, jako bandytyzm polityczny. *En passant* — parę zastrzeżeń. Powstańcy czy włoscy, czy hiszpańscy bronili niewoli ciała i ducha, bronili despotyzmu i poddaństwa, bronili św. inkwizycyi i władzy doczesnej Kościoła — a bronili przeciw wdzierającemu się przemocą nowemu porządkowi socyalnemu i nowemu życiu narodów. Nasi „polityczni bandyci" za wolność się bili, na mękę szli i na zgon, za niepodległość narodową, za sprawiedliwość społeczną. Dodamy, że w tamtych walkach heroizm niewoli łączył się z najdzikszem wyuzdaniem, zwierzęcem okrucieństwem, gdy bojowiec polski nigdy okrutnym nie był, często zaś stawał w oczach zadziwionego społeczeństwa jako typ bohaterski, podniosły etycznie, wielki. O gerylli hiszpańskiej z szacunkiem mówi dzisiaj historya. Ochrzczono ją „wojną ludową". O wyborze nazwy decyduje przeto ostateczny jeno rezultat. W najlepszym razie decyduje siła, natężenie danego przejawu. Nie przeciw Stefańskiemu to mówię, ale przeciw tym, którzy odnośny ustęp jego pracy — jeden z końcowych — zrozumieli mylnie.

A jednak ten właśnie ustęp zniewala do zabrania głosu. Stefański zarzuca w nim Polskiej Partyi Socyalistycznej, że bije ona przedewszystkiem na „bojowość", „zbrojenie się" mas robotniczych, „nienauczona doświadczeniem przeszłości, kiedy siłą wypadków akcya bojowa została sprowadzona na stopień bandytyzmu politycznego". Co powinna zaś czynić Polska Partya Socyalistyczna, jako jedyna partya, stawiająca niepodległość Polski jako cel konkretny walki politycznej? Oto przedewszystkiem propagować swe hasła niepodległościowe i socyalne wśród mas robotniczych, specyalnym zaś instytucyom zostawić „technikę rewolucyjną", „przygotowania bojowe", „popularyzacyę militaryzmu" i wszelką w ogólności „konspiracyę". Stefański protestuje przeciw konspiracyjnemu kierownictwu polityką społeczną i narodową, przeciw „ciasnym ramom konspiracyi", mówiąc cokolwiek tajemniczo o „demokratyzacyi życia politycznego", o „zaczątkach dzisiejszego życia konstytucyjnego", których nie należy ignorować.

Więc przedewszystkiem — czy doświadczenie przeszłości mówi, iż kłaść nacisku na bojowość nie należy? Że należy oddzielić „popularyzacyę militaryzmu" — tak jedynie wystawia sobie Stefański prace przygotowawcze w tej dziedzinie — od czynu politycznego? Jest to zagadnienie dla niepodległościowego obozu wręcz kapitalnej wagi [1]). A wiąże się ono z drugiem, przez Stefańskiego zaraz obok poruszonem zagadnieniem — czy konspiracya ma prawo pretendować do roli rządu narodowego lub rządu rewolucyjnego?

Posłuchajmy, co mówią fakta.

* * *

Początki akcyi Organizacyi Bojowej przypadają na koniec r. 1904 i początek 1905. Organizacya ta — zwana wówczas spiskowo-bojową, ma charakter niemal wyłącznie terorystyczny. Wykonuje zamachy na przedstawicieli rządu. Mści się za mord, dokonywany na tłumie bezbronnym. Podczas demonstracyi odpowiada strzałami na salwy i na szarże, wprowadzając w ten sposób moment oporu czynnego, fizycznej walki. Cała ta akcya obliczona jedynie na efekt moralny. Idzie o zdobycie prawa obywatelstwa w narodzie dla broni i dla czynu zbrojnego. Idzie o wzbudzenie w zastępach walczącego ludu wiary w „oręż, który daje zwycięstwo". Wśród kierowników żyją myśli, idące nieskończenie dalej. Istnieje myśl o przygotowaniach powstańczych. Wiąże się ona z dążeniem stronnictwa do niepodległości narodu; siłę bierze z klęsk, walących się na Rosyę. Pierwszy strejk powszechny w Królestwie — styczeń r. 1905 — ujawnia wielki stopień gotowości rewolucyjnej w masach robotniczych, silne sympatye dla ruchu wśród inteligencyi, a nawet włościan i mieszczaństwa, nadto urok ogromny imienia partyi, fakt owego w zaczątkach „panowania pieczątki", na które dziś Stefański powstaje. Zarazem jednak ukazuje się bezdeń krzywdy społecznej, gwałtownie dobijającej się głosu. Żywiołowy ruch zwraca się ku strejkom ekonomicznym, walka klasowa usuwa na drugi plan sprawę politycznej walki, a jedyne masowe walki tej przejawy — strejki demonstracyjne — z kolei znowu zaogniają walkę klas. Był to objaw naturalny, nieuchronny uprzedniego niemiłosiernego wyzysku i ciemięstwa, ale zarazem był to objaw niskiego stopnia politycznego wyrobienia całego społeczeństwa i jego przywódców. Teoretycznie uznawany związek między wyzwoleniem politycznem a wyzwoleniem ekonomicznem, w praktyce się zatraca. Już pod wrażeniem pierwszego strejku Polska Partya Socyalistyczna odrzuca myśl o powstaniu zbrojnem, o walce o niepodległość, o stworzeniu rządu. Dzieje się to, albowiem ruch masowy wyrósł ponad głowy tych ludzi, którzy nieprzygotowani naogół znaleźli się wśród burzy dziejowej, którzy zbyt słabi się czuli, aby wnieść w rewolucyę czynnik świadomej, twórczej woli.

Idą z falą. A fala niesie ich w kierunku coraz bardziej rozbieżnym ze sprawą niepodległości narodowej dlatego właśnie, że wśród nich samych myśl o walce zbrojnej korzeni nie zapuściła, że jest nowinką dnia, że nie myślano wprzód ani o tej „popularyzacyi militaryzmu", ani o „zbrojeniu się mas roboczych", że nie istniał atakowany przez Stefańskiego „militaryzm rewolucyjny".

Organizacya bojowa zostaje. Ale zostaje jakoby bez duszy. Bez treści, która mogła uczynić

---

[2]) Uwaga nawiasowa: Stanowisko Stefańskiego schodzi się całkowicie, mimo odmiennych założeń, ze stanowiskiem narodowych niepodległościowców, chcących uniezależnić militaryzm polski od wszelkiego związku z życiem politycznem i społecznem narodu. Ob. artykuły „Zarzewia".

ją potężną. Nie wolno jej czynić tego, co stanowi jej racyę bytu — bo oto odpadają przygotowania powstańcze. Odpada myśl o stworzeniu „militaryzmu rewolucyjnego“. Wśród przywódców organizacyi — tych, którzy unieść się nie dali falom „żywiołu“ — jest jeszcze nadzieja, że ruch wejdzie na drogę konsolidacyi wewnętrznej, stwarzania zorganizowanej mocy, przygotowań do wojny ludowej. Ale myśl partyi i jej władz jest inna: bojówka potrzebna do podniecania zapału, do usuwania najgorszych z pośród wrogów, później zaś — po konfiskatach sierpniowych r. 1905 — nasuwa się myśl o używaniu stałem bojówki do zdobywania pieniędzy. Tutaj więc, w braku myśli powstańczej, w braku militaryzmu rewolucyjnego, leży w zarodku ów „polityczny bandytyzm“. Wreszcie przychodzi moment kulminacyjny słabości państwa carów. Przychodzi olbrzymi ruch październikowy. Jest parę tygodni, w ciągu których cały kraj przeniknięty jest żądzą wyzwolenia. Jest chwila przycichnięcia antagonizmów społecznych. Jest chwila, w której klasa robotnicza z bezgranicznem oddaniem się walczy o wolność. Wybuchły powstania zbrojne na Łotwie i na Kaukazie. Rząd jest zdezorganizowany, przerażony, bezradny. Jeden z tych momentów jedynych, których tyle znała przeszłość nasza. W tej chwili wszystko czeka na zjawienie się Rządu, na rozkaz, na zorganizowanie czynu. Partya jest w apogeum swej siły. Krok jeszcze, a będzie to potęga Czerwonych w r. 1862, pomnożona przez niebywały zapał rewolucyjny setek tysięcy robotnika. Ale Polska Partya Socyalistyczna w myśl wskazań Stefańskiego wzdryga się przed „konspiracyjnem kierownictwem polityką społeczną lub narodową“, gubi się w „propagowaniu swych haseł socyalnych“, w momencie, gdy wszystkie kwestye socyalne na gruncie polskim zawisły w swoim rozwoju od rozcięcia węzła przez czyn polityczny. Organizacya bojowa, wykruszona w akcyach terorystycznych, w chwili tej nie istnieje; zresztą nie mogłaby ona myśleć o pokierowaniu akcyą powstańczą nawet w granicach jednego miasta, cóż dopiero o zorganizowaniu wojny rewolucyjnej. Ale decydującem jest to, że brak wogóle myśli o takiej wojnie. Moment mija. W chwili, gdy wróg zebrawszy siły powraca do szturmu na utracone pozycye, w grudniu r. 1905, Polska Partya Socyalistyczna naraz postanawia rządem się stać i proklamacyami zrobić zbrojne powstanie... Nie umiała zatem „konspiracyjnie kierować polityką społeczną lub narodową“, a „całą siłą pary“ od „bojowości“ odwrócona, doszła w konsekwencyi do zdyskredytowania rewolucyi polskiej i do niepowetowanej klęski.

Z klęski powstaje silna liczbą, dzielnością i wytrwaniem nowa Organizacya Bojowa[1]). W rosnącym rozbracie z większością władz partyjnych, usposobionych antypowstańczo, walczy ona z szalonem męstwem przez cały rok 1906. Fala rewolucyi opadła. Nastrój mas nie sprzyja myśli o powszechnej rewolucyi zbrojnej. Ale wszyscy niemal wierzą jeszcze w rychłe nadejście nowej fali. Bojówka przygotowuje dla tej fali nowe łożysko. Wytwarza się w masach ludowych kult dla oręża, pojęcie rewolucyi nie jako tajemniczego żywiołu, ale jako zorganizowanego powstania. Akcya terorystyczna dezorganizuje władze, rzuca postrach między naczelników rządu w Królestwie, wywiera wrażenie niesłychanie silne na opinii rosyjskiej, narzuca jej kwestyę polską[2]). Partyzantka, wbrew temu, co mówi Stefański, kierowana planowo i celowo, ma na celu zdezorganizowanie armii i cel ten osiąga — była o tem w r. 1907 urzędowa relacya — w bardzo znacznej mierze. Nie było natomiast, o ile wiadomo, przygotowań do masowej walki orężnej, która musiałaby niewątpliwie się wywiązać, gdyby był się powtórzył moment rewolucyjny. Ale moment ten się nie powtórzył. Bojówka — awangarda, niepoparta w walce śmiertelnej przez główną siłę, przez masy uzbrojone — musiała uledz. A gdy z tysięcy dziesiątki się stały, gdy setki krwawych akcyi stopniały do pojedynczych co kilka miesięcy potyczek, wtedy dopiero nabrała walka cech owej szuanery rewolucyjnej, którą bandytyzmem ochrzcił Stefański.

Twierdzę, że przyczyną klęski, poniesionej w tej walce, było to, że przyszła ona o rok conajmniej zapóźno; że nie miała swego silnego korelatu w politycznej świadomości narodu; że nie była przygotowana przez długie lata systematycznej pracy. Twierdzę, że przyczyną klęski było osamotnienie Organizacyi Bojowej, brak w społeczeństwie „militaryzmu rewolucyjnego“, niedojrzałość najsilniejszej partyi niepodległościowej do wytworzenia Rządu. Jeśli dzisiaj Stefański chce, aby na przyszłość partya taka wyrzekała się myśli o narzuceniu woli swej narodowi, jako rząd rewolucyjny, to zarazem chce, aby nadal w ruchach wyzwoleńczych naszych człowiek padał ofiarą „żywiołu“, rząd zaś zagarniali wrogowie ruchu; jeśli chce, aby wyrzekła się „militaryzmu rewolucyjnego“, to zarazem chce, aby na przyszłość raz jeszcze lud nasz napróżno wołał o broń i o dowódców; jeśli zaś chce ów „militaryzm“ specyalnym tylko zostawić stowarzyszeniom, nie związanym moralnie z obozem walczącego ludu, to zarazem chce w przyszłości nowego rozbratu między ludźmi propagandy, a ludźmi walki orężnej, rozbratu, w którym albo pogrzebiona zostanie sprawa powstania, albo też militaryzm rewolucyjny nabierze reakcyjnych znamion militaryzmu kontrrewolucyjnego. Niechże te miłe horoskopy nie wynikają przynajmniej z owego „doświadczenia przeszłości“, które po staremu bawełną bywa w uszach, zagłuszając tragiczną prawdę wydarzeń.

---

[1]) Zupełnie błędnie przesuwa Stefański moment największego natężenia akcyi bojowej na rok 1907. Główna kampania Bojowej Organizacyi PPS. rozegrała się latem r. 1906 (napady pod Celestynowem, Herbami, Pruszkowem, Szczebrzeszynem etc., „krwawa środa“, zabici generałowie Zukato, Westerling, Markgrafskij, Wonlarlarskij i paru innych, zamach na Skałłona, mnóstwo zamachów na pomniejszych przedstawicieli żandarmeryi, policyi itp., wreszcie masowo napadane stacye kolejowe, poczty, monopole).

[2]) Obacz artykuły „Rusi“ i „Rieczy“ w sierpniu r. 1906 z powodu „krwawej środy“.

JULIUSZ KADEN.

KORDYAN SŁOWACKIEGO.

Motto: Zapytałem o to mowy naszej a ta mi odrzekła: jasny swym „ja“ skoro zaświtał stało się światło a w nim łoń wydała słońce co łonie płonie.
Joachim Lelewel: Narody.

„Gmin polski jak indziej poniżony i ujarzmiony został postępem cywilizacyi. Oby jej postępem wyzwolony został.“
Joachim Lelewel.

I.

Po wielu latach — w kraju.

Gdym dnia pewnego, a jesień zapadała coraz głębsza, szedł przed się bez celu, pamiątką odwiecznych murów tajemniczo ciągnięty w głąb ulic — spotkałem niespodzianie mego profesora historyi polskiej z gimnazyum. Stanęliśmy przeciw siebie, oko w oko. Nic się nie zmienił. Ten sam uśmiech skryty pobłażliwie pod rudym wąsem, ta sama twarz chuda, pożółkła — pergaminowa. Niby przywiędłe kwiaty inicyału płonęły na niej ciemno-błękitne oczy.

Spojrzenia nasze spalały w serdecznem cieple porozumień ten rozmaity czas długiej rozłąki.

Skąd idę? Skąd wracam — pyta.

Przejazdem tylko tu bawię.

Równocześnie popatrzyliśmy wzdłuż ulic, na które wraz z drobnym śniegiem sypał się mrok.

Więc wracasz jeszcze tam na zachód?

Tak, profesorze.

Pod rudym wąsem przewinął się znów giętki uśmiech pobłażania i nagle zamarł. Profesor nie patrzył już na mnie a przed się w daleką smugę domów, zamkniętych przy końcu twardym ostrołukiem gotyckiej bramy.

Śnieg walił coraz głębszy i coraz ciszej robiło się w mieście.

A wy, profesorze, cóż? Jakże?

Patrzył uporczywie przez bramę na szczerbaty grzebień baszt, pod któremi ongiś jechał król bitny, łaskawy dobrodziej chrześcijańskiego świata.

Ja? No cóż — nic. Tu w Galicyi, w najswobodniejszej dziś z dzielnic dawnej Polski, uczę „historyi kraju rodzinnego“, która jako przedmiot nadobowiązkowy figuruje na świadectwie razem z gimnastyką, śpiewem, rysunkami i kaligrafią.

Tak, tak. Ale przecież sumienie, — punkt honoru młodzieży nie daje chyba powodów...

Tak — przerwał profesor — czasem się zdarza sumienie i punkt honoru.

Poszliśmy dalej.

Widzisz — zaczął — to bardzo trudno młodym ludziom wykładać historyę Polski. Można z nich porobić męczenników albo zbrodniarzy. — Właściwie jedno i drugie naraz: męczenników zbrodni. Tak trudno, tak bardzo trudno oryentować przeszłość naszą z teraźniejszością, z przyszłością... Żyjemy w ciągłym dylemacie. Nie powinniśmy patrzeć w tył, by módz iść naprzód. Nie pójdziemy naprzód, póki nie odrobimy tego, cośmy za sobą zostawili. Od stu lat nie może się Polak dogonić i od stu lat spaźnia się.

Zaś wówczas ja mu przerwałem i odchyliłem wieko przecudnej trumny, w której spoczęły reszty naszej ziemskiej, samoistnej doli. — Czyli, żem tu napomknął o Polsce, w tęczach poezyi romantycznych uśnionej.

Zapewne — odpowiedział. — Mamy poetów. Ich słowa to nasza krew. Lecz to nie my — nas poeci mają. Poeci, których sokiem żywotnym była w boju wylana krew narodu, których mierzwą były bohaterów-żołnierzy ciała poległe. Dziś już nie my krwią a krew nami rządzi. Tak wysoko cenimy — że aż przestaliśmy ją rozumieć. Już się jej dziś boimy. Jeszcze u romantyków krew i słowo — to jedno. Dlatego mieliśmy jeszcze 63-ci rok. — Dziś już podział pracy nastąpił. Krew sobie, słowo sobie — a my sobie. U romantyków...

Przerwałem: Zależy od punktu widzenia. Mickiewicz, — tak, zgoda. Ale —

I tu stanęliśmy nad otchłanną przepaścią wielce niezgłębioną, mimo, że zgłębiasz ją z wnikliwem nabożeństwem. Stanęliśmy, nazwiskiem Mickiewicza krzepcy, nad grząskim odmętem jednego z największych czarów, jakie zdarzyły się na świecie. — Przypomniałem Słowackiego.

Zaś myślisz napewno o Kordyanie! — wykrzyknął profesor. — Cóż łatwiejszego jak tu już całą polską sprawę opieczętować pochwytną, popłatną a tanią niemocą polską. Czyż nie? — Był karabin i żołnierz i carowa komnata otwarta, w niej łoże a w łożu car. — Karabin — instrument zwykły, prosty. — Czemuż-to, zamiast, żeby igłą był przez piersi cara pierwszy ścieg polskiej wolności szyjącą, stał się krzyżem niemocy? Sołdat z „Róży“ Katerli mówi stokroć mniej od Kordyana, mówi tylko dwa słowa. Sołdatowi wolno zabić — nie zabić, działać — nie działać — nie umie mówić, nie umie myśleć. Ale Kordyan?

Więc rozdźwięk między słowem a krwią?

Tu też rozdziału nie było — odpowiadał co żywo profesor. — Krew była chora, słowo wraz z nią. Trzeba przecież pamiętać, że Mickiewicz ślubował Towiańskiemu nie pisać i że ostatecznie ślubu tego nie wytrzymawszy, z wielkim mistrzem rozszedł się. To samo Goszczyński. Że przecież o to samo poszła mistyka Towiańskiego na noże ze Słowackim. To nie wszystko. Trzeba pamiętać, że kiedy stawać się zaczęła wiosna ludów, myśmy, — oni, — ci wielcy romantycy, zrazu powierzchownie od Brodzińskiego zaczynając, artyści wdzięczni ludowi za jego nowe, bogate formy, stanęli na rozdrożu między ludem a sprawą jego. Oni zrozumieli, jako genialni artyści, co złożyło się na te nowe ludowe formy. Ile wieków i jakich wieków. Zaś równocześnie widzieli, przeżyli niedawno, przeżywali wciąż upadek najważniejszej rękojmi, jedynej porękі ludowego zdrowia i rozwoju — upadek ojczyzny. Więc cały problem okrutnie doraźnej sprawy: Czy przez ojczyznę ku ludowi? Czy przez lud ku ojczyźnie? Mało tego. Byli dziećmi klasy, która właśnie legła raz na zawsze pod hańbą rozdrapanego kraju Więc kwestya wiekopomnej, może wiecznej odpowiedzialności i śmiertelnego grzechu. Więc nienaprawione może nigdy, więc nieśmiertelne, absolutne zło... A Bóg? Choćby tylko w formie mo-

żności jakowejś wiary? A już z tego coś innego, co przy założeniu „Bóg“ jasno wynika: Jaki Bóg jeśli Polska nie powstanie, nie wskrześnie? Wtedy niema Boga, bo zło jest absolutne, bo niema sprawiedliwości. Wtedy niema żadnej substancyi. Zła, — jako substancyi też niema. Są tylko straszne, bezcelowe, potworne zmagania się chaotycznej materyi. I niema żadnego sprawdzianu dla myśli, która pojmuje materyę.

Ci straceńcy może i na to zgodziliby się. Lecz w takim razie i tu właśnie obraca się odnowa koło męki, — skąd to cierpienie, skąd poczucie winy, gorycz, żal i co najdziwniejsze, skąd ta, wszystko inne pochłaniająca, chęć naprawy. Tu już szło poprostu o osnowę istnienia. O powód trwania człowieczego na ziemi.

Krążyliśmy wolno po ogrodzie miejskim, założonym na miejscu dawnych, obronnych wałów. Krakanie wron, plączące się wśród stłumionego pojęku dzwonów, nieciło w mętnem, mglistem powietrzu jakieś cmentarne echa.

A teraz postawże tych ludzi — ciągnął dalej profesor — na tle epoki, na tle przeżycia historycznego. Przedewszystkiem to ciągle niespełnione usiłowanie zdrowej części, lewej części społeczeństwa. Sprawiedliwość dla ludu. Poczucie niespłaconych długów wobec łaskawego wierzyciela, który — tego nie było można zapomnieć, który już dał olbrzymią zaliczkę własnej krwi. Poprostu: Niewykonany manifest Naczelnika o pańszczyźnie. — W trzy dni po chwalebnym boju grochowskim sromotnie pogrzebany wniosek posła Szanieckiego o nadaniu włościanom własności gruntowej i zniesieniu pańszczyzny. Taksamo pogrzebany wniosek z 28 marca o nadaniu własności drobnym rolnikom, choćby tylko w dobrach narodowych.

Dalej, chybiona wyprawa Dwernickiego na Wołyń i Ruś, również głównie dlatego, że nie pozwolono mu tam ogłosić zniesienia poddaństwa. Tak, tak, — gościnnie chleb dawać, tośmy się zgadzali, ale ziemię, chleba źródło zębamiśmy trzymali, aż nas, nasz własny czarnoziem udławił i zadusił.

A równocześnie, na tym samym Wołyniu szlachta, nam sojusz obiecująca, hekatomby, tysiące odkarmionych wołów dostawiała rosyjskim komendom. A równocześnie arystokracya polska, ten bezrząd wcielony, kompromitowała polską rewolucyę za granicą: dyskredytując ją na każdym kroku u obcych dworów, osłabiając fakty, przemilczając zwycięstwa polskiego oręża, szerząc w kraju i za granicą kontrpowstanie i kontrrewolucyę.

Ci wszyscy gnuśni i obłudni totumfaccy sprawy polskiej, ci akredytowani do dworów zagranicznych wysłannicy jak Kniaziewicz, Plater, Mostkowski, Raczyński! Ta cała polityka, którą sam Czartoryski jeszcze za życia powstania pieczętował tem niesłychanem wyznaniem do Paryża: Les victoires mêmes nous detruiraient.

A w kraju prócz rewolucyjnej, inne partye. Zaraz druga niezdecydowanych, za cenę amnestyi niechająca całą sprawę. Zaraz trzecia, pojednawcza, gotowa stłumić ruch za cenę wydania jego prowodyrów.

Sam sztab! Chłopicki, walczący po stronie króla polskiego Mikołaja przeciw Mikołajowi cesarzowi Rosyi. Radziwiłł, nie mający żadnego kontaktu z Rządem Narodowym, dość powiedzieć, że ten ostatni o batalii grochowskiej nie miał żadnych relacyi. Skrzynecki — szef Skrzynecki — guerrier redoutable, później niedoszły generalissimus wojska niepodległej Belgii, wódz, o którego obecność w Brukseli, omal że do poważnego zatargu z rządem rosyjskim nie przyszło, wódz, który więcej miał czasu dla swego kucharza, niż dla świetnych planów gen. Prądzyńskiego. Krukowiecki, którego już po batalii grochowskiej wraz z Łubieńskim chciano oddać pod sąd wojenny.

Nie zapominaj, że stanowo, klasowo rzecz biorąc, to ci panowie dygnitarze i ta sejmikująca szlachta, to nie mniej, nie więcej — tylko ojcowie naszych romantyków. I że w tej samej chwili przełomu, gdy chodziło o tę misę świętego przemienienia się krwi — o zbawienie Ojczyzny, — mieszczaństwo i lud zajęły zgoła inne stanowisko. Była przecie po ich stronie ogromna, istotnie miłością Ideału wywołana ofiarność.

Dość wziąć raporty Bnińskiego, szefa intendentury, by przekonać się o tem. Dość wiedzieć, że np. po bitwie grochowskiej cała Warszawa dobrowolnie w szpital zamienić się chciała. Podczas gdy prawica sejmu opuściła miasto, oddając je na pastwę Dybicza, mieszczanie nietylko że dostawili nadmierną ilość łóżek i szarpii a dobijali się o rozdzielenie chorych do mieszkań prywatnych.

Dlaczego? Bo ta armia walcząca, ten żołnierz liniowy, to były dzieci ludu i mieszczaństwa. Przecież ten cały czwarty pułk rekrutował się z rzemieślników, niższej służby i robotników Warszawy.

Należy pamiętać, że to, co dziś wiemy dzięki faktycznym danym, ówcześni widzieli: Że nie Rosya zgniotła powstanie 30 roku, a irredenta polska.

Coraz dalej i dalej, coraz głębiej w ten splot nieszczęścia.

Dlaczego? Skąd ta irredenta polska? Skąd ten Chłopicki, dyktator rei gerundae, — prowadzenia sprawy, dictator clavi figendi causa, tj. by w czasie klęski żywiołowej wbił gwóźdź mocy w chram polskiej wolności? Skąd ta przedziwna postać Czartoryskiego?

Głębokie na to złożyły się przyczyny. Z tych oto dwie, może zasadnicze: Rewolucya ducha zachodniego nie w stosunku do ówczesnego ustroju społeczeństw zachodnich.

Druga: Historyozoficzna nieznajomość rosyjskiego charakteru. Tego, co jest rosyjskim „dwojnikiem“.

Rewolucya ducha zachodniego po Rousseau. Więc Kanta umysł ludzki — słońce wszystkich idei (odkrycie dla swoich czasów bodaj równoznaczne z odkryciem Kopernika). Więc nieograniczona ducha ludzkiego poręka w kategorycznym imperatywie, — w prawości. I cały romantyzm niemiecki z Beethowenem i Fichtem. Więc Göthego — Raum für alle hat die Erde. Więc Schellinga koncepcya wolności i bezwarunkowa dusza ludzka.

Trzeba pamiętać, że już wtedy ruch romantyczny, z narodowych założeń wychodzący, w reakcyi przeciw ustrojowi społecznemu, dla uwzględnienia narodowości dążył do międzynarodowych

związków tajnych. Siecią tych związków w początku XIX stulecia pokrytą była cała Europa. We Włoszech Filadelfi, Cavalieri, Carbonari, Guelfi, w Niemczech Tugendbundy, prawie wszędzie Wolnomularstwo.

Na to tło wstąpił własnowolnie Rosyanin, typ Rosyanina, car Aleksander. Oswobodziciel Europy od Napoleona, władca z zakłopotaniem pytający lorda Grey'a w Anglii — comment créer un foyer d'opposition, angażujący się skwapliwie w akcyi oswobodzenia Greków, bohater, na którego cześć pisał Beethowen marsze.

Ten, jak go Włosi później nazywali, Judasz liberalizmu, który wstępował do lóż masońskich, sam tworzył rosyjskie Tugendbundy, ten koronowany prowokator, który równocześnie warował Królestwu Polskiemu prawa a poufnie ks. Konstantemu dawał carte blanche (nie byłaż to carte rouge?!), ten członek wolnomularstwa, co podpisywał w Opawie umowę o interwencyi obcych mocarstw w krajach zajętych przez rewolucyę (międzynarodowość à rebours) — zmylił opinię całego świata ówczesnego. Zmylił, bo może istotnie szczerym był demokratą, szczerze przyjaźnił się z Czartoryskim, bo może istotnie szczerze wysłuchiwał replik Lelewela, zbijającego historyczne tezy Karamzina o konieczności włączenia Litwy do Rosyi. Jak szczerą była konspiracya rosyjska, która na pierwsze skinienie wszechwładcy poszła na smycz (z małymi wyjątkami). Oni wszyscy szczerymi byli, jak długo sprawa pozostawała w dziedzinie teoryi i wszyscy, za przykładem cara, zawiedli w praktyce.

Tego wszystkiego przed powstaniem w Polsce nie rozumiano. Oto, co bezwątpienia w słabym stopniu irredentę polską tłómaczy. Nie rozumiano, że pod maską demokraty, maską piękną, olśniewającą, — czai się nieprzejednana morda drapieżnika, barbarzyńcy. Że pod humanitarną teoryą (Aleksander miał już przecie napisany projekt uwłaszczenia chłopów) krył się instynkt ślepego zaborcy. Ten właśnie instynkt pozwolił Aleksandrowi wynieść przyjaźń królobójcy Nowosilcowa — nad Czartoryskiego. Pozwolił odczytywać projekty Nowosilcowa niwelujące konstytucyę polską w imię państwowości rosyjskiej. Ten instynkt pozwolił mu sprzyjać utworzeniu w Polsce tajnej policyi.

A teraz proszę sobie wyobrazić wśród tych różnych policyi tajnej, wojskowej, municypalnej, prywatnej Nowosilcowa, wśród prowokacyi na każdym kroku w Sejmie, w prasie, w wojsku — polskiego żołnierza i polskiego inteligenta. Z tym jego poczuciem honoru (za czasów ks. Konstantego w jednym roku 49 oficerów odebrało sobie życie z powodu zniewagi przez księcia wyrządzonej), z tym elementem fatalnej wiary w króla polskiego — cara Wszech-Rosyi, w przysięgę, w honor. Proszę sobie wyobrazić, jak mu się zwolna oczy otwierały, gdy odbierali wolność prasy, gdy mu kradli skarb, gdy znieśli jawność posiedzeń sejmowych. W czasie, gdy już cały świat obleciała prawda Schellinga, że historya to postęp konieczny ku prawemu stanowi, w którym rozwinie się wola wszystkich, wzajem się nie wykluczając. I że: Ein Recht zum Zwange hat keiner, zum Gegenzwange jeder.

Już noc zapadła. Śnieg okrył stare, poczerniałe mury. Staliśmy właśnie u stóp Wawelu, pod którym cicho szemrał wartki nurt Wisły.

Widzisz — mówił profesor — tu kiedyś, w tych salach rozlegały się mądre wiersze Kochanowskiego i pewno ten:

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu głupim świecie
A gdybyś chciał rozumem wszystkiego do-
[chodzić
I zginiesz, a nie będziesz umiał w to ugo-
[dzić.

Bo doprawdy: Dziwna równowaga. Czy myśleli rycerze Władysława IV., w Moskwie ucztujący, że ich pra-prawnuki u stóp tego samego Wawelu w r. 1846 ujrzą kozaków, niszczących ostatnią szczyptę polskiej wolności, Rzeczpospolitę krakowską. Więc i naodwrót. Czy wiedzą duchy naszych romantyków, co stać się może. Czy wie ojciec, w którem pokoleniu prawnuków ból jego owocować będzie mocą?...

(C. d. n.)

BOLESŁAW ZAHORSKI.

POEZYE.

ŻYCIE.

Ktoś zawarł polot myśli niewidną zaporą, —
ktoś cisnął ważki kamień w głębie mojej duszy, —
ktoś mi zdławił prąd uczuć jakąś dawną zmorą —
i oślepił me oczy i me piersi kruszy.

Jakaś niemoc nademną rozpostarła skrzydła: —
moja wola umarła....
— (ha, gdzie jesteś wolo??..)
— gdzie mych marzeń witraże były, dziś straszydła
roztętniły krzyk grozy, natchniony swawolą. —

Jakaś ręka upiorna mi dźwiga powieki, — —
widzę, widzę tak jasno, chociaż oczy bolą: —
to ty jesteś — tyranie — życie, co przez wieki
kusisz myśl marą szczęścia...
(hej, gdzie jesteś wolo?!..)

UPIORY.

Jękła ziemia, zdławiona stalową obręczą,
legło słońce rozbite u stóp czarnej wieży — —
krwawe wiosek pożary opasały tęczą
moje serce tęskniące do jasnych rubieży. — —

Czarny przestwór pochłonął blaski gwiazd jarzące,
noc tak ciemną roztoczył, że ustały płacze, —
tylko gdzieś — wciąż się leją jakieś łzy gorące —
tylko gdzieś wciąż zawodzą nadmierne rozpacze.

Płynie szereg postaci... zaś noc taka czarna!..
niosą trumnę w milczeniu — jak palącą zmorę...
Hej, — nie płaczcie upiory! — wasza żałość marna —
to me serce tak niosą, — moje serce chore — — —

S.M.J.

JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY). 12

— Wiecie co? — Orszański ożenił się z chłopką.

— Co? — ten poeta?

— No, niech mama sobie wyobrazi! — wołała Wandzia, patrząc na zebraną przy obiedzie rodzinę olbrzymiemi oczami i kiwając głową boleśnie.

Zdjęła kapelusz, bo właśnie wróciła z lekcyi, siadła przy stole i zasypywana pytaniami pani Bielskiej, zaczęła opowiadać ze zdumieniem i obrzydzeniem o tym potwornym fakcie.

Uwielbiała Orszańskiego, a teraz sama nie wiedziała, jak się na niego zapatrywać. Wzruszała ramionami, wymachiwała rękami, śmiała się, chwytała za rękawy matkę i siedzącego obok Julka, który usuwał się z niesmakiem od tych wybuchów, z ust jej sypały się obelgi pod adresem tej nieznanej, która opętała wielkiego, naiwnego poetę.

— I mówić tu, że poetom potrzeba duchowego współżycia! wołała prawie z bólem, a pierwsza lepsza dziewka im wystarczy! Jakież to może być życie z taką! No, niech by była ładna, to zapewne, piękno go oczarowało, ale to podobno nic szczególnego, taka ot sobie dziewczyna, tyle że sprytnie umiała się wziąć do rzeczy.

— Nigdy nie miałam zaufania do artystów — mówiła, wzdychając, pani Bielska. Każdy zawsze

postrzelony, ta mu się podoba, tamta mu się podoba, z tą zerwie, z tamtą zacznie, leci znowu gdzieś, sam nie wie gdzie — och, Jezus Marya, nigdy nie wiadomo, czego się z nimi trzymać. — We mnie kochał się kiedyś ten, wiesz... no — ten — fortepianista — no ten — — ach, cóż on wyrabiał! Klękał, modlił się poprostu, przynosił mi kwiaty — co dzień miałam świeże — pisał kompozycye dla mnie. — Jedna pamiętam, była bardzo ładna, taka śliczna pieśń, taka jakaś rozrzewniająca. Jak mamę kocham, że mi się ogromnie podobała! — i sam śpiewał z takiem uczuciem (tu westchnęła), że cóż, byłabym się zgodziła, ale jak to zaczną mówić, że jemu nie można wierzyć, że on ma tu romans, tam romans, ta pisze, tamta telegrafuje, a te śpiewaczki, te aktorki, — no, nie macie pojęcia! A zresztą powiem wam, bo to było już dawno, że zachowywał się nie bardzo — nie to, żeby nieprzyzwoicie, ale nietaktownie... Jakeśmy byli sam na sam... e, co tam opowiadać! zresztą poznałam wtedy Leonarda...

— Co on robił nietaktownego, niech mama powie! zawołała ze śmiechem rozciekawiona Wandzia.

Pani Bielska zaczerwieniła się aż po szyję. Spuściła oczy, jakby miała lat dwadzieścia.

— No nic takiego — rzekła z irytacyą. On był elegancki, bardzo dobrze wychowany, tylko tyle, że cóż — podobałam mu się...

— Co? pocałował mamę?

— Moja kochana, tylko sobie nie pozwalaj!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i zaczęli błagać mamę, żeby opowiedziała.

To zmieszało ją do reszty.

— Ciekawam, co tu śmiesznego! zawołała gderliwie, patrząc z podełba na roześmianą rodzinę. Nawet pan Leonard, co mu się rzadko zdarzało, śmiał się potężnym basem i pocałował ją w rękę z rozrzewnieniem.

— Głupi jesteś! Żebyś wiedział, że on mi się bardzo podobał!

— Ale co zrobił, co?

— Co zrobił, co zrobił! Nic. Trzymał mnie za rękę za długo i ...Cesia, dawaj pieczeń, widzisz przecie, że czekamy — przerwała nagle. — O, on by się z pewnością z chłopką nie ożenił! rzekła po chwili z głębokiem przekonaniem.

— O, naturalnie, — potwierdziła Wandzia Doprawdy, że mi wstyd, że ten Orszański kiedyś mi się oświadczył.

— Co? Kiedy?

— W Zakopanem, trzy lata temu.

— Cożeś mu odpowiedziała?

— Phi, wyśmiałam go!

— No, no, taki sławny poeta!

— A zkądże ja mogłam wiedzieć, że on będzie sławny? Wtedy był obdarty, trzech groszy bym nie dała za niego. Dziwiłam się nawet, że śmiał mi to mówić! No, no, ale nie spodziewałam się...

— A pamiętasz ty tego — no tego kuzyna twojej koleżanki, — ożenił się ze służącą! — przypomniała pani Bielska.

— Prawda, prawda! cała rodzina się go wyrzekła! Ach jakiż on był śmieszny! Wszystko by oddał dla swojej Aniusi! A ta Aniusia to baba jak piec, jak krzyknie, to rondle z półek spadają. Obrzydliwe! Zawsze rosołem śmierdzi!

— Wszystko to ma zawsze jedną i tę samą przyczynę — rzekł nagle z powagą, jak zwykle skandując, pan Leonard. — Brak charakteru i brak gustu.

Julek spojrzał na ojca z niepokojem i zdziwieniem. Siedział dotychczas sztywnie, z zapartym oddechem, bojąc się zdradzić najlżejszym ruchem, mrugnięciem powiek...

Wszystko, co tu mówili, wydawało mu się wstrętne, tem wstrętniejsze, że, jak sądził, było po części słuszne. Zdanie ojca było dlań niespodzianką. Pewny był, że ojciec przynajmniej będzie innego zdania — jakiego? — dokładnie nie wiedział. Teraz uczuł się jakby skazanym bez apelacyi, zupełnie osamotnionym — i znów nie wiedział czemu. Nigdy przecież nie pomyślał ani na chwilę o małżeństwie z Cesią... Teraz mu nagle przyszło to do głowy i wydał się sobie beznadziejnie śmiesznym. Gorące wypieki wystąpiły mu na twarz. A może się kto już domyśla?

Spojrzał podejrzliwie na ojca i matkę — i uczuł ulgę. Nie, rozprawiali dalej o głupocie poetów i słabości tych, co się zgadzają na pożycie z kimś bez kultury, inteligencyi i „subtelności uczuć"... Zwierzęce życie... bez poezyi...

Julek czuł, że się dusi. Fałsz w nich, fałsz w sobie, coś strasznie pokrzywionego, smutnie komicznego, czy komicznie smutnego, coś głupio obrzydliwego, coś nędznego... W sobie czy w nich? I w sobie i w nich... w całym świecie...

Zatęsknił za Cesią. Ale było mu coraz smutniej, coraz okropniej. Po co on krzywdzi tę dziewczynę... On kochał Jadzię...

Ach prawda, on jest beznadziejnie zakochany w Jadzi! On jest bardzo nieszczęśliwy! I nikt o tem nie wie — a to krwawiąca rana w duszy!

Starał się sobie wyobrazić Jadzię, ale fantazya przynosiła mu tylko schematyczne obrazy — jakoś rozleniwiała ta jego fantazya — zbladła..

Uczuł w sobie pustkę i przerażenie.

* * *

Od czasu tej rozmowy zawisła nad Julkiem, jak zmora, myśl, że on powinien ożenić się z Cesią. Doznawał zimnych dreszczy na to przypuszczenie, potem śmiał się z siebie, potem znów myślał, że ściśle biorąc, uczciwy człowiek musiałby się z nią ożenić — gdyby miała dziecko.

Ostatecznie nic nie zapowiadało tego faktu, ale gdyby, no gdyby tak — co?

Julek wiedział doskonale, że się z nią nawet wtedy nie ożeni, ale myśl, że nie byłby ze sobą w porządku, czyniła go nieszczęśliwym.

Powoli, zrazu lękliwie zaczął się jednak bliżej przypatrywać tej przypuszczalnej konieczności — i chwilami nie wydawała mu się wcale tak straszną.

Gdy przezwyciężał strach przed śmiechem rodziny, czuł nawet prawie radość. Nie, on przecież by nie zważał na rodzinę! Co to — to nie.

Widział się z Cesią w chałupie wiejskiej, którą sam wymalował wzorzyście, wśród złotych zbóż, lub w ogródku z małemi drzewami wisien, jabłoni, grusz, z krzakami malin pod płotem. — Obok ryczy krowa, świnie chrząkają, koń parska, kury uganiają się z gdakaniem za ziarnami zboża, pies wygrzewa się na słońcu, przeciąga się leni-

wie, podchodzi do Julka, kiwając ogonem, jaskółki czynią piskliwe harmidery nad głową, latają jak strzały szybko, wilgi gwiżdżą, czasem skowronek wzbije się t ż nad chałupą i upaja się swoimi zawrotnymi hymnami, coraz wyżej ulatuje, coraz wyższe koła swych pasażów roztacza, — to już nie koła, ale wiry tej wymowy oszałamiającej go unoszą, leci nie na skrzydłach, ale na swoim głosie — coraz wyżej.

Julek siedzi w malutkim ogródku i maluje. Cesia śmieje się do dziecka, które piszczy i skrzeczy w kołysce. Dziecko jest śliczne. Syn! Cesia uwija się koło obory. Jest wieczór. Rozmawia z krową jak z człowiekiem. A chodź tu, stój tu, przysuń się, „nastąp się“ — potem, wydoiwszy ją, klepie ją przyjaźnie i pyta.

— A czegóż tak mało mleka dzisiaj co?

Krowa ryczy zcicha.

— Ja ci dam! — Pamiętaj, że pan będzie się gniewał.

Krowa ryczy głośniej.

— No cicho stara, cicho, Julek dobry, Julek przyniesie chleba ze solą — Wojtek!

— A co?

— Gdzieżeś prosiaki podział?

— A bo ich niema w kuchni?

— To w kuchni powinny siedzieć? Jak powiem ojcu, to zobaczysz!

— Ojca się ta nie bojem. Zawdy prosiaki siedziały w izbie, nie w kuchni.

— Ale teraz jenszy porzondek — Ja ci dam!

Julek budzi się z zamyślenia i parska śmiechem, ale jakoś nieszczerze.

Potem roztoczyła się przed nim bezbrzeżna nuda tego pożycia. Tak,.. nuda. Uwięziony, przykuty gdzieś na wsi... w ciusznej izdebce... w nędzy... O czem tu rozmawiać... A świat szeroki... Tyle kobiet... zabawy, teatry... Tyle kobiet...

A mieszkać z Cesią w Warszawie?

Nie — nie —

Policzki mu nabiegły krwią... Wstydził się, doprawdy nie wiedział czego — czy ludzkiego śmiechu, czy tego, że pomyślał o ludzkim śmiechu ... On przecież na nic i na nikogo nie uważa... na „burżujów“... Oni nie rozumieją życia na zagonie, w ślicznej chatce, jaskrawo, po chłopsku przez artystę malowanej, na meblach kształtnych, prostych... życie proste...

Ech, głupota, sentymentalizm. Prostota?... Nie, to nie dla niego. Szaleństwa mu trzeba, awantur, wzburzonego morza, strasznych dramatów, zabójczych słów, śmierci i miłości, życia, życia! Prostota? — to frazes...

(C. d. n.)

SYDIR TWERDOCHLIB.

Z POEZYI TARASA SZEWCZENKI.

PRZEKŁADY Z UKRAIŃSKIEGO.

I.
WIECZÓR.

Wiśniowe sady wkoło chaty,
Chrabąszczów słychać senny mruk;
Już oracz do dom wiedzie pług,
Wracają dziewki z pól objaty,
A matki ojców patrzą z dróg.

Domowi siedzą koło chaty.
Wieczorna gwiazda wschodzi w mgle.
Wieczerzę córka z chaty śle,
A matka uczy małe skrzaty —
Gra słowik, malcom słuchać źle.

Pokładła matka koło chaty
Do snu dziecięta swe na len.
Ją samą przy nich zmorzył sen.
Już cicha noc. Brzmią śpiewne czaty
I nuci ptak przekorny ten.

II.
JAK DZISIAJ WIDZĘ...

Jak dzisiaj widzę... Nad ruczajem,
Wieńczona zewsząd wierzbim gajem,
Bieleje chata. Nad nią wzgórze.
Na przyzbie chaty siwy dziad,
Staruszek, wsparty na kosturze,
Małego wnuka bawi rad.

I widzę — Wyszła z izby matka,
Całuje dziecię swe i dziadka,
Wesoło trzykroć ich uściska;
Z uśmiechem, mówiąc: „głodne snać...“,
Na usta dziecka z piersi tryska,
I potem je odnosi spać.

A dziad do siebie się uśmiecha
I sapiąc jeszcze, niby z miecha,
Powiada cicho: „Gdzież te trwogi?
Te liczne ciosy, troski, wrogi?...“

W wierzbowym gaju zachód płonie...
Dzień cicho gaśnie w nocy łonie...
Spoczęło wszystko — Ludzie — Światy —
I starzec poszedł spać do chaty.

III.
NI SZEROKIEJ TEJ DOLINY...

Ni szerokiej tej doliny,
Ni, marszczącej step, mogiły,
Ni wieczornej tej godziny,
Ni tych cudów, co się śniły,
Nie zapomnieć mi.

Cóż to wszystko po rozłące?...
Dziś jam nie twój, ty nie moja.
Młode lata, błędne gońce,
Legły gdzieś tam u postoja,
Marnie serce śni...

Jam dziś — więźniem, ty — już wdową,
Ot, straceni my oboje;
Miast żyć, śnimy porę ową —
Ty tam marzysz, ja tu roję
Krasę dawnych dni.

MIECZ. RETTINGER

Bergsona studyum o komizmie[1]).

Nie wszyscy śmieją się jednako. Pomiędzy śmiechem uczonego a żołnierza, uśmiechem estety a wybuchem radości dziecka, lub chłopa — istnieją znaczne różnice. Wielorakość tych zjawisk jest niezmienna, jednakże sam proces wewnętrzny komizmu musi być oczywiście ten sam. Wyobraźnia komiczna powiedzieć może wiele nowego o pracy wyobraźni ludzkiej wogóle, a w szczególności o wyobraźni społecznej, zbiorowej i ludowej. Komizm wyrosły z łona życia realnego, a mający zastosowanie w sztuce, może nam rozjaśnić niejeden objaw tak w sztuce, jak w życiu.

„Genialną illustracyą bergsonizmu" nazwano H. Bergsona studyum o komizmie „Śmiech". Tej nazwy nie powinno się odbierać temu dziełku tak śmiesznemu w założeniu ze względu na to, że pisał je jeden z pierwszych myślicieli o bezmyślnych godzinach radości, że pisął je teoretyk „czasu i wolności" o bezwolnym sposobie zabijania czasu i t. d. i t. d. Komplikacye filozofa śmiechu nie dadzą się przewidzieć.

Bo śmiech można lubić i ciągle go analizować. Ale zapomina się tak często, że śmiejący się nie zawsze ma słuszność, że śmieszek czasem bywa kretynem, a czasem także zbrodniarzem (tylko nie śmiejcie się, państwo). Wspomnijcie na wielkiego śmieszka Arystofanesa. Z niepozostawiającą nic do życzenia filisterską zajadłością ścigał specyalnie dlań dogodny przedmiot: Sokratesa. Przy tem zdawało mu się, jak każdy się przekonać może, że miał słuszność. Najsmutniejszy z dowcipów!

Tak daleko jednak Bergson nie idzie. Zadziwiające to widowisko czytać, jak subtelny i giętki ten umysł wyłuskuje pierwiastki śmiechu z życia ogólnego i towarzyskiego ludzi. Zdefiniowano człowieka jako „zwierzę, umiejące się śmiać.[2]) Najważniejszem przy śmiechu jest to, że w przedmiot śmiechu nie powinniśmy być wmieszani. Ludzie sentymentalni nie mają żadnego zmysłu dla komizmu. Skoro tylko na otoczenie spojrzymy jako obojętni obserwatorowie — natychmiast wiele dramatów przemienia się w bufonady. Niema też śmiechu samotnego. Nasz śmiech jest zawsze śmiechem całej grupy. „Zdarza się nieraz, że w wagonie lub przy table d' hôte przysłuchujemy się, jak podróżni opowiadają sobie różne przygody i dykteryjki, prawdopodobnie dla nich bardzo zabawne, bo ciągłym przeplatane śmiechem. Gdybyśmy należeli do tego samego towarzystwa, śmielibyśmy się prawdopodobnie tak samo; skoro jednak tak nie jest, nie odczuwamy najmniejszej ochoty do tego".

Znaną jest anegdotka, „o jakimś chłopie, który zapytany, dlaczego nie płakał podczas kazania, które wszystkich pobudziło do łez, odpowiedział: „nie należę do tej parafii". To, co ten człowiek mówił o płaczu, dałoby się jeszcze lepiej zastosować śmiechem". Zauważono skądinąd, że w teatrze, na koncertach publiczność tem lepiej się bawi, im pełniejszą i bardziej natłoczoną jest sala. Śmiech wkorzeniony jest więc w społeczeństwo, odpowiada potrzebom społecznego życia i wskutek tego posiada społeczne znaczenie. I jakie to jest znaczenie?

Znowu przykład z Bergsona: „Jakiś człowiek, idący ulicą poślizgnął się i upadł: przechodnie się śmieją. Myślę, że nie śmianoby się z niego, gdyby można było przypuścić, że pod wpływem chwilowego kaprysu umyślnie siadł na ulicy. Śmiech wywołany został jedynie tem, że on usiadł mimowolnie. Śmieszną jest jego niezgrabność". Źródłem i społecznem znaczeniem komizmu są wymagania, które stawia wobec nas społeczeństwo: powinniśmy się do życia, do wymagań każdej chwili i odpowiadającym jej regułom, zwyczajom i potrzebom przystosować. Człowiek biegnący, a tak mało zręczny, że nie opanował mechanizmu biegu, tworzy dla nas figurę komiczną tak samo, jak komicznymi są mazgaje, roztargnieni, ludzie myślący o tych samych ciągle drobiazgach, używający przysłowi i t. p. Ci także nie opanowali mechanizmu towarzyskiego życia i dla wszystkich stanowią przedmiot śmiechu.

Najwspanialszym przykładem takiego człowieka jest Don Kiszot, który zahypnotyzowany obrazem wymarzonym swoich bohaterów, siłę myślenia i całą swą wolę skierowuje ku wymarzonemu światu, a pośród rzeczywistości krąży, jak we śnie. „W s z y s t k i e jego czyny są wynikiem roztargnienia. Lecz to roztargnienie nie płynie z jakiejś zagadkowej przyczyny, ale z przyczyny znanej nam dokładnie i pozytywnej". „Upadek jest zawsze równie nieprzyjemnym, lecz co innego jest wpaść do studni dlatego, że patrzono w jakąkolwiek inną stronę, a co innego wpaść w nią w pościgu za gwiazką na stropie niebieskim. I jak idée fixe jest przestępstwem przeciw giętkości w przystosowaniu się do natury społeczeństwa, tak w jeszcze wyższym stopniu jest ona nałogiem. I nie nałogiem „t r a g i c z n y m", w który wciela się cała dusza ludzka wraz z wszystkiemi swemi potęgami twórczemi i wciąga w koło wiecznych walk". Tylko te małe, towarzysko przykre nałogi, jak skąpstwo, zazdrość, które duszę człowieka czynią sztywną, jednostronną, które żywe działanie automatyzują. Jednocześnie przekraczamy granicę poważnej i głębokiej sztuki i wchodzimy w sferę komizmu. To jest także granicą życia i automatyzmu. Komedye omawiają typy, powtarzające się często w społeczeństwie. Tytuły komedyi brzmią najczęściej ogólnikowo: „Skąpiec" „Gracz". „Jeżeliby nam kazano uprzytomnić sobie jakąś sztukę, która mogłaby nazywać się n. p. „Zazdrosny", to wtedy przyjdzie nam na myśl: Sganarelle albo George Daudin, lecz nigdy Otello. Zazdrosny może być tylko tytułem komedyi".

Tartuffe jest rzeczownikiem rodzajowym, lecz Jago albo Mefisto są indywidualnościami. Tragizm jest zawsze indywidualny, komizm społecznym. Komiczna przywara, cecha może odłączyć się od osoby, na której ją illustrowano, zostanie ona tak, jakby miała własną osobowość, niewidoczna, a przecież wszędzie obecna, okazuje się tylko czasami na pewnych ludziach, którzy chodzą, jakby wytatuowani nią od stóp do głów. Technika komedyopisarza przedstawia nam tę wadę w taki sposób, że otrzymujemy wrażenie jakoby myśmy sami pociągali za sznureczki maryonetek. Widzowie w teatrze

---

[1]) „Le rire" (śmiech). O Henryku Bergsonie pisze się u nas coraz w.ęcej. Z artykułów i prac . Błeszyńskiego, I. Kodisowej, B. Biegeleisena, ostatnie I. Wł. Dawida poznać można mniej więcej system Bergsona, nawet jeśli się nie zna oryginałów lub znakomitych interpretacyi Brzozows iego.
Dziś podajemy popularne przedstawienie „Śmiechu".
(*Uwaga Redak.*)

[2]) Karol J. Weber, autor „Demokryta" pozostałych papierów ś m i e j ą c e g o się filozofa, rozpoczął się od entuzyastycznej analizy zdania „l' homme est un animal, qui crache" (pluje).

współgrają z komizmem postaci przedstawionych i to powiększa ich radość (...Schadenfreude!).

Przytomność umysłu i elastyczność są dwiema uzupełniającemi się siłami, które życie wprowadza w ruch. Przymioty, wymagane przez życie z jego dziwnymi przypadkami i nieobliczalnością, rozwijają się w każdym osobniku inaczej. Nasze ciało, nasz duch, nasz charakter nie mogą przecież nigdy odmówić posłuszeństwa, jeśli chodzi o przystosowanie się do żywotnego momentu w naszem życiu. Nie wystarcza bowiem żyć, społeczeństwo żąda więcej, należy dobrze, pięknie, elegancko żyć. Społeczeństwo nie znosi, by któryś z jego członków chodził swojemi, odrębnemi drogami, zamiast zachowywać jak najczulszą równowagę pomiędzy swoją wolą a panowaniem nad sobą. Wymaga się ciągłego w tym kierunku wysiłku i każda sztywność charakteru, umysłu lub nawet ciała natychmiast wydaje się czemś podejrzanem. Gdyż może być, jest to symptomat, że człowiek ten zamierza się izolować od społeczeństwa, może oddalić się lub stanąć na poprzek celom i zadaniom jego. Ponieważ przecież „winny“ żadnej materyalnej winy nie popełnił — nie można go też materyalnie ukarać. Ludzie znajdują się w obliczu wypadku, który ich musi zaniepokoić, lecz wypadek ten jest zarazem tylko bardzo odległą groźbą, jest najnajwyżej jakimś g e s t e m. Można też przez gest społeczny od niego się uwolnić. Tak powstaje śmiech.

„Komizm oświetla tę stronę ludzi, z której podobni są do rzeczy, odsłania taki widok zdarzeń ludzkich, który naśladuje swą specyalną sztywnością zwykły mechanizm, automat, słowem ruch bez udziału życia. Komizm wyraża tedy pewnego rodzaju niedoskonałość indywidualną lub zbiorową, niedoskonałość, wymagającą natychmiastowej poprawy. Śmiech jest taką poprawką“. Życie przedstawia się Bergsonowi jako pewnego rodzaju ewolucya w czasie i komplikacya w przestrzeni. „Rozważane pod względem czasu, życie jest ciągłym rozwojem istnienia coraz bardziej starzejącego się t. z. nie powracającego i nie powtarzającego się nigdy. Rozważane pod względem przestrzeni, życie przedstawia naszym oczom żywioły współistniejące, tak ścisłą ze sobą związane łącznością, tak wyłącznie jedne dla drugich stworzone, że żaden z nich nie mógłby równocześnie należeć do dwóch różnych organizmów. Każda istota żywa jest więc szeregiem zamkniętym zjawisk, niezdolnych przecinać się z innymi szeregami. Wieczna zmiana wyglądu, niepowrotność, zupełna indywidualność zamkniętego w sobie szeregu zjawisk, oto zewnętrzny charakter (prawdziwy lub wydający się takim) odróżniający istotę żywą od zwykłego mechanizmu. Weźmy teraz przeciwieństwo tego wszystkiego, które możnaby nazwać p o w t ó r z e n i e m, o d w r ó c e n i e m, p r z e c i n a n i e m s i ę s z e r e g ó w z j a w i s k“.

Łatwo się domyśleć, że te trzy procesy są zwyczajnymi i jedynymi środkami farsy, wodewilu — są środkami wywoływania komizmu. Wiemy więc jak daleko w filozofię Bergsona sięga jego komentarz śmiechu. Przeciwieństwo trzech głównych procesów życiowych znaczy na powierzchni życia społecznego ciągłe wewnętrzne zaburzenia i utrwala wiecznie płynne kształty tych wstrząśnień. Wstrząśnienia te odczuć się dają nawet na poziomie, na którym pomiędzy „mechanizmem stawania się świata, a pełnem, całkowitem istnieniem duszy“ (jak mówi w jednem z głównych swych dzieł Bergson) żyje człowiek.

Pomiędzy życiem i jego wrogiem: mechanizmem, pomiędzy indywidualnością, a szablonową równością wszystkich znajduje się granica, grająca rolę pośrednika: serdeczny śmiech. Idee Bergsona o duszy i materyi, sztuce i rzeczywistości w życiu graniczą się wzajem także ludzkim śmiechem. Jest to przejściem od rzeczywistości do sztuki. A człowiek jest jedynem śmiejącem się stworzeniem.



EMIL KIPA.

WOJNA 1809 R.

(WŁADYSŁAW DE FEDOROWICZ. 1809 CAMPAGNE DE POLOGNE DEPUIS LE COMMENCEMENT JUSQU'A L'OCCUPATION DE VARSOVIE. VOLUME I DOCUMENTS ET MATÉRIAUX FRANÇAIS. PARIS, PLON 1911 IN 8-VO STR. IV. + 447).

Na brak publikacyi, odnoszących się do historyi pamiętnej kampanii 1809 r. w historyografii europejskiej wogóle uskarzać się nie można. Wiele zrobiono w tym kierunku szczególnie w ostatnich latach. Ze strony francuskiej otrzymaliśmy 3-tomową poważną publikacyę, wydaną z ramienia sekcyi historycznej generalnego sztabu przez komendanta Saskiego, ze strony austryackiej w ostatnim czasie ogólny, krótki i jasny rys kampanii Meyerhoffera v. Verdopolje i szczegółową z ramienia sztabu generalnego przez tegoż autora wydawaną lubileuszową „wojnę 1809 r.“ (na razie 4 tomy). Ze strony pruskiej stosunek neutralnych Prus do kampanii został zrewidowany i nowemi danemi ustalony przez Gaedego,

Byłyby to pozycye najważniejsze i podstawowe. Luźnych przyczynków starszych i nowszych istnieje legion. Począwszy od starego, bo spółcześnie prawie wydanego, Weldena i kontynuacyi Peleta, a skończywszy na Sternie, Kronesie, Fournierze, Dellbrücku, Welschingerze i i., każdy z historyków miał w tej sprawie coś do powiedzenia. Menckena „Schlacht bei Aspern“ zapoczątkowała n. p. formalną powódź dyskusyjną w tej materyi. Simona, drobna, zasadniczo rzecz rozstrzygająca rozprawa „o opóźnieniu się arcy-

księcia Jana pod Wagram“ nie mało się przyczyniła do wyjaśnienia sytuacyi.

Wobec istotnego ogromu literatury historycznej niemieckiej i francuskiej rażące braki wykazują badania rosyjskie i polskie. W historyografii rosyjskiej, prócz fragmentycznych, dokumentowych przyczynków, rozrzuconych w Sborniku ces. tow. historycznego, publikacyach W. księcia Mikołaja Michajłowicza, Szyldera i paru innych niema na razie nic. Obszerna i wyczerpująca rzecz Michajłowskiego-Danilewskiego zostaje w rękopisie i niewiadomo, czy ujrzy kiedy wogóle światło dzienne. W historyografii polskiej posiadamy cenną rzecz Sołtyka „Campagne de Pologne en 1809 sous les ordres du Pce Joseph Poniatowski“, tem cenniejszą, że po dziś dzień jest jedyną, poważną, całokształt kampanii na ziemiach polskich obejmującą pracą. Słusznie też przed paru laty wydano ją w przekładzie polskim p. M. Leszczyńskiej. Anonimowy, kompilacyjny „Rys kampanii 1809 r“, wydany w Poznaniu (1862) nie wiele przynosił nowego. Z szeregu licznych przyczynków źródłowych Askenazego, Skałkowskiego i Plutyńskiego, szkic tegoż ostatniego „o Rosyi w przededniu kampanii 1809 r.“ posiada niezaprzeczoną, doniosłą i trwałą wartość ze względu na rozstrzygające oświetlenie kwestyi stanowiska Rosyi wobec Austryi i Francyi. Nawiasowo dodać należy, iż temat Plutyńskiego rozwinął następnie szerzej i szczegółowiej na zasadzie pełniejszego zużytkowania depesz Schwarzenberga, kapitan sztabu austr. ś. p. Gustaw Justh w swojej pracy „Politik oder Strategie?“. Na ostatek wymienić wypada malutką, kilkanaście stron liczącą broszurę Handelsmana, który pod szumnym i za obszernym tytułem: „Napoleon a Polska — rola Polaków w Wiedniu 1809 r.“, podał parę niewątpliwie ważnych dokumentów, nie wnikając jednak głębiej w sprawę, wiele tylko w tytule obiecuje a mało faktycznie daje. Pozycye niniejszem wyliczone wyczerpują prawie w całości dorobek historyografii polskiej w zakresie badań kampanii 1809 r., przyczem jak zwykle tak i tym razem w wielu najważniejszych kwestyach bezpośrednio mających związek z kampanią galicyjską 1809 r., informacyi zasięgać musieliśmy w pracach badaczy obcych, a nie u swoich.

Zagadnienie samej kampanii 1809 r. w Polsce, przedstawia się jako temat nietylko wdzięczny, ale i przedewszystkiem niesłychanie ważny i doniosły. Poza ściśle militarną stroną, ujawniającą całą świetną sprawność oręża młodych wojsk Księstwa Warszawskiego i jego dowódców naczelnych, wystawiła kampania najchlubniejsze świadectwo Polakom z zaboru austryackiego i ich gotowości do ofiar i walki orężnej. Okazało się, że mimo całą forsę i energię germanizacyjnych zapędów rządów austryackich, trwających lat okrągło czterdzieści, uczucie narodowe nie tylko nie osłabło, ale owszem nawet się wzmogło. Kampania 1809 r. wykazała w całej pełni proroczą słuszność słów arcyksięcia Karola, napisanych pod bezpośredniem wrażeniem poznania istniejących stosunków w Galicyi. W zakresie znowuż najogólniejszych stosunków dyplomatycznych teren galicyjski był miejscem, gdzie międzymocarstwowe związki interesów francusko-rosyjsko-austryackich, ich wzajemne starcia miały dojść do swego kulminacyjnego punktu rozwojowego. Odtąd już zniknie niedawno w Tylży i Erfurcie zawarta i traktatami obwarowana przyjaźń francusko-rosyjska i doprowadzi z czasem do wybuchu 1812 r. Narodzi się przyjaźń austryacko-francuska, nie więcej trwała jak poprzednia, a tem gorsza, że niecnie i zdradliwie opuści sprzymierzeńca francuskiego w krytycznym momencie wojny 1813 r. Za zgodą Aleksandra utworzone Księstwo Warszawskie, zyska otwartego wroga po równi u wszystkich mocarstw rozbiorowych, tem większego, że mimo przeszkód, pomnożenie terytoryum Księstwa nastąpiło. Ponadto wykaże kampania 1809 r. w całej pełni na jakie trudności natrafiały plany polskie Napoleona, jak drażliwą była dla Europy ta sprawa, jak łatwo od jednego podmuchu gotowała się z tej strony burza na kontynencie europejskim. A było w tym czasie aż nadto materyału palnego do wywołania pożaru. Groźnym ogniem powstańczej wojny dyszała Hiszpania, a wyczekiwała sposobności tylko Anglia, aby w jakikolwiekbądź sposób wziąć odwet za wszystkie swe dotychczasowe straty i niepowodzenia. Kwestye te zaznaczyć choćby w ogólnych zarysach, o ile chodzi o specyalnie europejskie stosunki, sprawy zaś polskie zbadać i wyświetlić możliwie szczegółowo — oto cel publikacyi p. Fedorowicza.

Pracę wykonano w bardzo szerokim zakresie, Materyału zaczerpnięto nietylko z archiwów wojny i spraw zagranicznych Paryża i Wiednia, Record office londyńskiego, archiwów krajowych polskich, publicznych i prywatnych, ale sięgnięto i do znanych publikacyi dawniejszych i nowszych Sołtyka, d'Angeberga, korespondencyi Napoleona, Davouta, publikacyi pruskich archiwów państwowych, Gefroy de Grandmaison'a publikacyi o Hiszpanii, Vandala o Napoleonie i Aleksandrze, uwzględniono przyczynki podane przez Skałkowskiego i i., słowem nie pominięto żadnego wydawnictwa, które cośkolwiek choćby dla przedmiotu omawianego przynieść mogło. Zrobiono nadto jeszcze więcej, bo uwzględniono „Monitora“ i „Journal de l'Empire“, liczne cenne a trudno dostępne i dlatego nieznane głosy i artykuły o wojnie 1809 r., które materyał archiwalny w niemałej a pożądanej mierze uzupełniły.

Podnieść należy przytem i sam wzorowy system roboty. Mając drukowany tekst jakiegoś listu, nie zadawalano się prostym przedrukiem, lecz sięgano po oryginał, o ile był do odszukania w archiwach francuskich i według tego dopiero tekst znany kolacyonowano. Stąd spotykamy w publikacyi szereg tekstów o odmiennej, poprawniejszej i pełniejszej wersyi niż nawet w specyalnych publikacyach takiej n. p. korespondencyi Davouta. Jeżeli znowuż np. Saski podaje w jednym miejscu list Davouta — to wydawcy znaną jest nietylko fragmentaryczna, mylnie datowana, jak się okazuje, kopia z Archives de la guerre, z której Saski korzystał, ale przedewszystkiem i oryginał z Archives Nationales, o pełniejszej, poprawniejszej wersyi i dacie.

Drobnych takich poprawek i uzupełnień spotykamy cały szereg, a oryentacyę w poszczególnych sprawach ułatwiają znakomicie dokładne wskazówki bibliograficzne i dość szczegółowo opracowane personalia, tudzież indeksy.

Możnaby, co prawda z pierwszego wejrzenia wysnuć z tego zarzut, iż publikacya przynosi za wiele może przedruków rzeczy znanych, aliści tego rodzaju zarzut skłonni bylibyśmy podnieść raczej jako zaletę publikacyi. Jeżeli chodziło o zestawienie kompletu materyału, stworzenie tym sposobem rodzaju dossier do kampanii polskiej 1809 r. i ułatwienie roboty badaczom, zmuszonym do wertowania całego szeregu obcych publikacyi, innej drogi wyjścia nie było. A że ją przeprowadzono z wielkim nakładem pracy i ko-

sztów, to chyba specyalna, uznania godna zasługa i ofiarność wydawcy.

Z kolei rzeczy wypada najogólniej zaznaczyć sumaryczny bilans naukowy publikacyi. Na 256 numerów tomu pierwszego naliczyliśmy około 90 przedruków, resztę t. j. prawie 170 dokumentów podano po raz pierwszy. Uwzględniono po równi dyplomatyczną jak i militarną stronę kampanii.

W zakresie dyplomatycznych spraw zaznaczyć wypada przedewszystkiem ważne przyczynki, dotyczące stosunków austryacko-angielskich tego okresu. Instrukcye wystawione na imię Wagnera, późniejsze wydane Wallmodenowi i Stahrenbergowi, pozwalające wniknąć głębiej w intencye dworu wiedeńskiego i oświetlające bliżej jego plany, zdążające do zniszczenia przewagi Napoleona, są dla historyi istotnie cenną zdobyczą naukową. Szereg korespondencyi Wessenberga, wysłanego ówcześnie z misyą do Berlina, listy Stadionów, oświetlają dosyć jaskrawo niedawno w nauce przez prof. Askenazego poruszoną kwestyę, iż okupowana Warszawa była przez Austryę przeznaczona dla Prus, które tym sposobem można było w wojnę wciągnąć. Całego szeregu cennych przyczynków do dziejów Ks. Warszawskiego dostarczą korespondencye Davouta i ks. Józefa Poniatowskiego, raporty rezydenta Serry i komendanta Warszawy Sauniera, tworzące ponadto główny zrąb militarnych dziejów kampanii 1809 r. Osobno na uwagę zasługują ciekawe notes Rożnieckiego do Davouta z 5. marca 1809 r., zawierające ciekawe przyczynki do charakterystyki ówczesnego stanu rzeczy i ludzi.

Wyliczając same dodatnie strony publikacyi nie możemy nie zaznaczyć na zakończenie i pewnego minus. Dotyczy on sposobu drukowania dokumentów z zachowaniem ich oryginalnych pisowni, a nawet i błędów czy to ortograficznych, czy też z nieuwagi powstałych błędów i usterek gramatycznych. Pomijając fakt, iż w nauce obowiązuje i stale we wszystkich publikacyach zagranicznych jest praktykowaną metoda modernizowania pisowni; — dziwne wrażenie sprawia książka, gdzie obok siebie w zgodzie sąsiadują teksty z tego samego roku i czasu drukowane w dwu odmiennych pisowniach, dzisiejszej i ówczesnej. Tak samo nie wiadomo, poco uwidoczniano w tekście tego rodzaju dziwolągi, jak: „Czetzlochowa“, „Florodycki“, „Niemcerviez“, „Jaraizczozki“ i t. d. i dopiero potem w notach zaznaczano, że to Częstochowa, Horodyski, Niemcewicz, Jaraczewski. Zamiast wydrukować właściwą n. p. formę „rallier“, drukowano nic nie znaczące „railler“ z uczonem [sic!]. Są to, powie ktoś może, drobiazgi, ale też od publikacyi, która zagranicą wydana, o nas w Europie ma mówić, w tym względzie bezwzględnej naukowej ścisłości wymagać należy.

SILVA RERUM.

(S_2). SALWOWANIE „POWAGI“ RADY SZKOLNEJ. W ostatnich dniach przyszła wiadomość, że ministerstwo oświaty zatwierdziło zarządzone przez Radę szkolną krajową przeniesienie prof. Janika ze Lwowa do gimnazyum w Dębicy.

Pospieszyły podać tę wieść swoim czytelnikom organy redakcyjne, nieukrywając radości z okazyi tego, że, jak pisało „Słowo Polskie“ i „Gazeta narodowa“, sprawa ta „została nareszcie ostatecznie rozstrzygniętą“.

Ministerstwo przypieczętowało bezprawie. Jakoś poprostu wypadałoby w tym miejscu dziwić się, że najwyższa władza jest bez skrupułów; a gdzież nareszcie szukać się ma obrony swych słusznych praw? Przebieg jednak całej sprawy prof. Janika miał takie momenta, że orzeczenie ostatnie ministersrwa nie jest znowu niespodzianką. Przecież to samo ministerstwo odrzuciło rekurs prof. Janika przeciw zarządzeniu Rady szkolnej jako z góry niedopuszczalny. Nikt wówczas nie dał się wziąść na kawał „autonomicznemu“ gestowi wiedeńskiego ministeryum, które przyznawało wspaniałomyślnie władzy krajowej nieograniczone prawo w sprawach personalnych. Panu ministrowi musiał ktoś wówczas opowiadać wesołe anegdoty i przy tej sposobności wspomnieć również i o tem, że w Galicyi każda mowa i każdy artykuł zaczyna się i kończy autonomią. Więc p. minister jął się „autonomicznego“ fortelu, by wykręcić się popularnem sianem od rozstrzygania przykrego i kłopotliwego meritum sprawy prof. Janika. Fortel był sprytny, a co przedewszystkiem jest cenne, b.rdzo ostrożny. Zważmy bowiem, że odrzucenie rekursu tyczyło się właściwie tylko tej sprawy, tylko tego pojedyńczego faktu. Gdyby wniesiono jakiś inny analogiczny rekurs, ministerstwo pod jakimkolwiek pretekstem, że sprawa jest odmienna, byłoby uznało swoją kompetencyę. Nie chciano referować kłopotliwego „kawałka“ i powiedziano sobie, że z okazyi tego jednego faktu można sobie pozwolić na rolę autonomistów. Trybunał jednak administracyjny, który w Austryi spełnia tak ważną funkcyę, jak interpretacyę ustaw, który swojemi orzeczeniami stwarza pewne prawne precedensy, ten centralistyczny Trybunał nie mógł sobie pozwolić na takie autonomistyczne figle.

Rezultatem znanego orzeczenia Trybunału administracyjnego było to, że ministerstwo, które chciało w tej c tej sprawie umyć ręce i nie ściągać na siebie odium opinii i nie kompromitować p.Dembowskiego, musiało jednak wejść w meritum. Umywanie rąk ministerskich było naprawdę Piłatowe, bo przechodziło do porządku dziennego nad krzywdą i bezprawiem. I taktyka taka wskazywała niedwuznacznie, w którę stronę skłania się serce ministeryalne. Więc ostatnie zatwierdzenie ukazu Rady szkolnej to nareszcie nie niespodzianka, jak również nie nową jest i geneza takiej a nie innej decyzyi ministerstwa. Motywem rozstrzygającym był tu akt kurtuazyi wobec p. Dembowskiego, łatanie honoru władzy autonomicznej przez centralizm. Jesteśmy w stanie wierzyć, że ministerstwo w głębi swego serca nie aprobowało formy przeniesienia prof. Janika. Nie dlatego, byśmy urzędników ministeryalnych mieli posądzać o entuzyazm dla potrzeby niezależności przekonań stanu nauczycielskiego, ale dlatego, że to są bądź co bądź ludzie znający się nieco na machinie biurokratycznej, którzy wobec tego wiedzą, że gdyby przełożony przenosił sobie podwładnych na podstawie anonimów, bez wiedzy i zgody najbliższych przełożonych, bez legalnego śledztwa, bez formalnego zapytania się choćby podwładnego, co ma na swoje usprawiedliwienie, to kierat biurokratyczny musiałby prędzej czy później popsuć się na amen.

A więc o to nieśmiertelne „prestige“ chodziło. Czy aby jednak zastosowany medykament dla leczenia powagi R. Szk. nie za zwietrzały nawet dla certyfikatowca? Jest to bowiem naprawdę nieco trudno wbić w głowy, że krzywda podpisana przez p. Dembowskiego przez uzyskanie drugiego podpisu p. ministra przestaje być krzywdą, lub że bezprawie popełnione przez niższą władzę, a zatwierdzone przez wyższą, już nie jest bezprawiem, ale wypucowaniem honoru niższej władzy. Czy naprawdę niezłomnie i nieskalanie kultywowana w wojsku austryackim zasada: „der Vorgesetzte hat Recht“ otoczyła nimbem powagi choć jednego kaprala?

Nie chcemy niepokoić p. wiceprezydenta podobnemi pytaniami. Jesteśmy wobec niego bezsilni, gdyż mamy to silne przekonanie, że on sam uważa swoje sumienie za czyste. Bo przecież nareszcie gaworzenie o niezależności przekonań stanu nauczycielskiego jest sobie bajką z tysiąca i jednej nocy galicyjskiej, bo zapewnianie, że się będzie szanowało wychowawców jako ludzi wolnych, jest luksusem wobec stosu podań na biurkach i tłumu rozpaczliwie śmiesznych anglezów w kurytarzach Rady szkolnej, bo nareszcie można mówić, dlaczegoby nie! o wychowaniu pokolenia nowego, silnego, śmiałego przez nau-

czycieli o obywatelskim duchu — nawet o komisyi edukacyjnej należy napomknąć, ale to wszystko nie wyklucza tego, by po skonstatowaniu choćby przez jedną chwilę u siebie wiary w podobne słowa, nie wstąpić do przyjaciela psychiatry. Tak po drodze — zawsze nie zawadzi.

Ś. P. KARDYNAŁ PUZYNA. Dnia 8. września zmarł książę biskup krakowski, ten dostojnik kościelny, od tylu lat toczący nieustanną walkę już nietylko z opinią postępową, ale z całą opinią polską, która kiedykolwiek rościć sobie próbowała pretensye do niezależności. W szczególnie uporczywy bowiem sposób przeciwstawiał się tej opinii na każdym kroku. Zamknął podziemia Wawelu przed prochami Słowackiego — a zdażyło się to właśnie w roku jubileuszowym, kiedy musiano to przyjąć za obrazę narodowej świętości, nie dopuścił Wyspiańskiego do udziału w odnowieniu katedry wawelskiej, właśnie wtedy gdy twórczość jego zaczynała jednać sobie powszechne uznanie; dał się użyć rządowi austryackiemu do niedopuszczenia do tyary niewygodnego kandydata, mimo, że opinia katolicka nieprzychylnie patrzyła na krępowanie wolności wyboru papieża — opinia narodowa podrażniona była zbyt jaskrawem wystąpieniem w roli kardynała austryackiego, nie polskiego; nawet opinię towarzyską wyzwał przeciw sobie, gdy w głośnem zajściu z księdzem Puszetem rygoryzmem formy średniowiecznej subordynacyi złamał ów specyalny demokratyzm nowoczesnego savoir-vivre'u, stosowany do ludzi znajdujących się na posadzce tego samego niveau towarzyskiego.

Był postacią wyjątkowo niepopularną, nawet znienawidzoną. A jednak dziś w obliczu jego śmierci ta sama opinia staje jak wobec zjawiska niepospolitego i imponującego. Dziś, gdy każdy niemal sąd owijany jest mnóstwem konwenansów, każde stanowisko określane takim natłokiem kompromisów i przyzwoleń, że samo siebie niejednokrotnie określić nie może, ten człowiek miał odwagę czy manię, aby być konsekwentnym. I to w nim imponuje, a niektórym każe nawet doszukiwać znamion spiżowej woli i siły. Zbyt tu wiele może nekrologowej przesady: gdy w nekrologu nie można z kogoś zrobić bohatera lub męczennika, próbujemy narysować przynajmniej coś zbliżonego do demona. Lecz przecież wiemy, że na stolcu biskupim był narzędziem stańczykowskiej kliki, narzędziem tem wygodniejszem, że na sobie jaskrawością formy swych czynów całą uwagę opinii koncentrował, że na konklawe także narzędziem był w rękach innego „rodaka", ówczesnego ministra spraw wewnętrznych. I wiemy także, że „zasługi" jego z gestem bezstronności przez prasę wyliczane, mogą wejść z notatnika reporterskiego do nekrologu każdego dostojnika kościelnego, z owem zakładaniem kościołów i kaplic łacińskich we wschodniej Galicyi na czele. A już owe zasługi przy restauracyi katedry wawelskiej będą długotrwałem niestety świadectwem braku zrozumienia charakteru owej świątyni pomników historycznych (sarkofag Warneńczyka i Jadwigi) i braku wszelkiej kultury artystycznej (płaskorzeźba Oleśnickiego, tandeciarskie odgrodzenie lewej nawy).

Ale bezwzględność i upór dziś imponują, chociaż na tle stosunków dziwne czasem wywołują konsekwencye. Dziś „Naprzód" żałuje kardynała Puzyny i jego szczerego i bezwzględnego klerykalizmu, klerykali może po cichu radzi są z jego śmierci, bo swą szczerością i bezwzględnością zbyt rzucał się w oczy. Bezwzględność i szczerość dzisiaj imponują i dlatego kardynał Puzyna zapewnioną ma w narodzie długą pamięć.

FARSA PROF. STARZYŃSKIEGO, CZYLI REFORMA WYBORCZA W NIEUSTAJĄCEJ KOMISYI SEJMOWEJ. Dzieją się rzeczy niezrównane w swoim mimowolnym komiźmie, ogromnie zresztą smutnym dla losów kraju. Należy do tych „historyi wesołych, a ogromnie przez to smutnych" sprawa reformy wyborczej do sejmu. Mieliśmy, jak wiadomo, dla sprawy tej komisyę sejmową i nie byle komisyę — taką permanentną! Sam ON, Głąbiński, ówczesny regimentarz Koła Polskiego był referentem. Narodowi kazano wierzyć, że przy takim referencie może spać spokojny o losy reformy. Naród zdrzemnął się, a Głąbiński poświęcił się dlań i wziął tekę ministerstwa, którą zamienił później na honorowe poselstwo z okręgu IV m. Lwowa. Sięgając po te godności, musiał biedak przestać „referować" sprawę reformy wyborczej. Objął referat p. Starzyński, mąż opatrznościowy konserwatystów podolskich, a zarazem demokratycznych wszechpolaków w swoje niezawodne ręce. Prezes, prezydent Leo, mimo niemniej gorące uczucie dla sprawy reformy wyborczej, ogromne miał ambarasy i z wyborami nowemi do parlamentu i z krakowską Radą miasta i obstrukcyą demokratów i z planami Wielkiego Krakowa. Że zaś naród nie gwałtował, więc zdrzemnęło się cokolwieczek, i komisyi. Dziewięć miesięcy już minęło — jeszcze projekt reformy się nie narodził! A tu przychodzi sprawa ugody z Rusinami. Potrzebna komisya. Potrzebny projekt nowej ustawy wyborczej. Więc marszałek Badeni dobiera się do p. Leo. Więc p. Leo dobiera się do referenta. Wszyscy się dziwią zwłoce: przecież prof. Starzyński ma właśnie dzięki p. Bobrzyńskiemu maleńki urlop od zajęć parlamentarnych! Miał czas na napisanie referatu. „Gazeta Narodowa" wyjaśnia. Referat jest. Pojechał tylko na kuracyę do Maryenbadu. Dlatego, choć wydrukowany, nie mógł być przedstawiony prezesowi komisyi...

Żart na stronę. Obaj ci panowie, p. Leo i p. Starzyński, zabawili siebie i zabawili kraj kosztem najżywotniejszych interesów ludu. Zarówno prezes komisyi „permanentnej", tolerujący półroczną jej bezczynność i lekceważące zachowanie się referenta, jak referent, drwiący sobie najwyraźniej i z reformy wyborczej i z sejmu i z marszałka, do odpowiedzialności winni być pociągnięci przez ogół. Postępowaniem swem prof. Starzyński nietylko sprawę reformy na szwank wystawia, ale i sam byt sejmu.

PRAWDA W SPRAWIE RAPPERSWILSKIEJ. Powiadają, że prawda ma własności oliwy — na wierzch wypływa. W tym wypadku raczej przedzierać musi się ona przez misterną tkaninę intryg i kłamstwa. Z powodu sprawy rapperswilskiej nowe snadnie przysłowie wyrośnie: Kłamie, jak dziennikatz lwowski w Rapperswilu. Jak dalece w błąd wprowadzono opinię publiczną, jak daleko zwiedziono uczciwych członków Komisyi, w jak nieuczciwy sposób „osaczono" w Rapperswilu Żeromskiego, wszystko to jawnem się staje wobec nowych rewelacyi, nowych faktów. Dokument — list Kustosza do ś. p. Henryka Bukowskiego z oficyalnem podziękowaniem za miniaturę Chodowieckiego, Muzeum ofiarowaną, zestawiony z zeznaniami Kustosza o miniaturze tej, jako własnym jego darze — wystarcza, aby przekreślić od początku do końca całe pobłażania pełne orzeczenie komisyi. Przemówili świadkowie, których zignorowano, lub których nie doszło wysłane podobno zapytanie. Zygmunt Wasilewski i Ignacy Domagalski potwierdzają najdonioślejsze zarzuty Żeromskiego! Obaj widzieli przestrzelony elzewir. Obaj widzieli rozkręconą maszynę Baranowskiego. Obaj widzieli księgę sztychów Oleszczyńskiego, powalaną lakierem, z pogiętemi kartami, dobytą ze stosu rupieci. Sprawa wycinków Chodźki czeka jeszcze na odezwanie się pp. Zygmunta Chmielewskiego i Antoniego Dobrowolskiego; może zresztą także ich głosy znajdują się w broszurze, którą do druku przygotowuje Żeromski, zmuszony do samoobrony wobec narodu, przed którym obniosła go mafia dziennikarska jako lekkomyślnego oskarżyciela szlachetnych ofiarników.

W sprawie sprzedaży dubletów przemówił p. Artur Śliwiński, któremu proponowano hurtowne nabycie za paręset franków tych samych dubletów, które później za 500 fr. nabył Sokolnicki. P. Śliwiński szeregiem trafnych uwag osłabia w nowych punktach uwłaczające p. Sokolnickiemu orzeczenie Komisyi. „Zwracając się z propozycyą nabycia dubletów do instytucyi publicznej — pisze p. Śliwiński w konkluzyi — nikt nie jest obowiązany przypuszczać, że instytucya taka zechce dokonać transakcyi z wyraźną dla siebie szkodą i to chyba dyskusyi podlegać nie może". Zresztą sprawa ta czeka na sąd, którego zażądał Sokolnicki.

Cenny artykuł, pomieszczony w „Krytyce" przez p. Bronisława Urbańskiego, b. pomocnika kustosza w Rapperswilu, podaje szczegóły owej „cennej opinii" p. Gembarzewskiego, komplementem ogólnikowym zbytej przez Komisyę. Oto, mimo uprzednie wskazówki znakomitego znawcy wojskowości polskiej, w salach mundurów i broni stan rzeczy jest fatalny. Pozostały stare falsyfikaty. Przybyły nowe. Po dawnemu pas oberkonduktora szwajcarskiego wisi na mundurze ułańskim. Artykuł kończy się zatrważającą wieścią: oto p. Rużycki, dumny ze zwycięstwa, nabrał odwagi, wierzy znowu w swą kompetencyę naukową i gościom po dawnemu opowiada androny...

JEDNA Z DAROWIZN KUSTOSZA RAPPERSWILSKIEGO. Ważną rolę w sprawie rapperswilskiej odegrała

historya miniatury Chodowieckiego, zapisanej pierwotnie w inwentarzu muzeum jako dar ś. p. Bukowskiego, następnie zaś przez samowolną w księgach przeróbkę p - danej za dar kustosza, Włodzimierza Rużyckiego. Komisya przyjęła wyjaśnienia p. Rużyckiego, a temsamem uznała, że to był istotnie dar jego. Tymczasem zaszedł nowy fakt, który na całą sprawę rzuca odmienne światło. Oto dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie dr. Feliks Kopera otrzymał z Paryża list od dra Henryka Gierszyńskiego, który donosi, że w papierach pośmiertnych Henryka Bukowskiego odszukał piśmienne podziękowanie za znaną miniaturę Fryderyka Wielkiego, malowaną przez Chodowieckiego. Podziękowanie to opiewa:

„Muzeum Narodowe w Rapperswilu do Wielmożnego Pana Henryka Bukowskiego w Sztokholmie.

„Otrzymawszy do zbiorów Muzeum Narodowego od Wielmożnego Pana miniaturę Fryderyka Wielkiego przez Chodowieckiego; portret na miedzi W. Księcia Konstantego; fotografie z wystawy chicagowskiej Kolumba i Kopernika oraz pół dolara na jubileusz Kolumba, mam honor w imieniu Zarządu złożyć za ten dar serdeczne podziękowanie, nadmieniajac, iż dar rzeczony zapisany został wraz z nazwiskiem ofiarodawcy do dziennika darów Muzeum Narodowego na rok bieżący, pod numerami 1086—1089, oraz do księgi dobroczyńców Zakładu.

„Zamek w Rapperswilu, dnia 23 sierpnia 1893 r. (Podpis własnoręczny:) *Rużycki de Rosenwerth*".

List ten ma być rozesłany w odbitkach fotograficznych jako przykład wiarogodności zeznań p. Rużyckiego.

ZJAZD LIGI POMOCY PRZEMYSŁOWEJ odbył się we Lwowie w dniu 8—10 września przy licznym udziale delegatów. Sprawozdanie przedłożone zjazdowi obejmuje półtoraroczny okres czasu i wskazuje na nieustanny rozwój tej instytucyi, czego dowodem miał być uroczysty akt otwarcia nowego gmachu.

Działalnością Ligii objęty jest cały kraj: we wszystkich miastach i miasteczkach a nawet i po wsiach (uchwała Zjazdu tworząca sekcyę rolniczą zapewne i tu ruch powiększy) istnieje 316 filii w postaci kół miejscowych z niedawno założoną centralną filią dla Galicyi Zachodniej w Krakowie, z ogólną liczbą dochodzącą prawie 15.000 członków.

Na trzy działy podzielić można pracę Ligi: pierwszy to naukowy — to warstaty dla młodzieży, a dalej instytucye, jak seminaryum dla przemysłu domowego, które odbyło 4 kursa fachowe, zamierzony w myśl uchwał Zjazdu Uniwersytet przemysłowy i t. p.

Drugą część działalności stanowi założenie spółki maszynowej (liczącej 116 członków z kapitałem ok. 48.000 K. a obracającej dotąd 318.500 K.) i 9 spółek fakturowych w kraju, utworzenie w dziale handlowym muzeum i biura exportowego we Lwowie, wreszcie wydanie skorowidza przemysłowego dla Galicyi.

Część agitacyjna obejmuje wystawy, jarmarki, odczyty w całym kraju. Ogromnem powodzeniem cieszyły się wystawy ruchome w liczbie 109, zwiedzone przez 170.000 obób.

Poruszono podczas obrad, które odbywały się bardzo pracowicie a dyskusyą ożywioną wskazywały na wielkie zainteresowanie i aktualność Ligi, wiele spraw, których załatwienie poruszyć może budzący się coraz bardziej przemysł. Z kwestyi i wniosków uchwalonych wspomnieć trzeba o dążeniach poparcia rozwoju przemysłu domowego po wsiach, wnioski o utworzenie spółek rę odzielniczych, ich kredytu, cały szereg uchwał w sprawie rękodzielników, wydanie poradnika, założenie czytelni fachowych i t. d. Ważnym momentem są wnioski w sprawie budowy kanałów, oraz zajęcie się agitacyą po całym kraju dla tem żywszego zadokumentowania opinii publiczej.

Zjazd wykazał postęp Galicyi w rozwoju przemysłowym i z razem przekonał o konieczności tego rodzaju instytucyi, któraby zająć się mogła najpierwszymi podstawami wiedzy ekonomicznej. O ile Liga pomocy przemysłowej pójdzie dalej tą samą drogą, będzie mogła zapisać się chlubnie na kartach historyi życia ekonomicznego Galicyi.



Z RAPTULARZA.

KRAJOWA KOMISYA WYKONAWCZA POLSKIEGO STRONNICTWA POSTĘPOWEGO odbyła 10 bm. pierwsze zebranie po feryach.

Po dyskusyi kilkugodzinnej, w której brali udział pp. rektor Pawlewski, poseł Śliwiński, prof. Rehman, inż. Sikorski, red. Laskownicki, prof. Janik, dr. Aschkenase, radca Bogdanowicz — powzięto następujące uchwały:

1. Polskie Stronnictwo Postępowe protestuje przeciw usiłowaniom udaremnienia jesiennej sesyi sejmowej i wzywa posłów demokratycznych i ludowych o dołożenie starań, ażeby Sejm jaknajrychlej został zwołany i by sprawa reformy wyborczej ordynacyi wyborczej w duchu 4-przymiotnikowego prawa głosowania jeszcze w tym roku bezwarunkowo przeprowadzoną została, w przeciwnym r zie domagać sie należy rozwiązania Sejmu i odwołania się do wyborców.

2. Polskie Stronnictwo Postępowe domaga się bezwarunkowego i zupełnego wykonania ustawy państwowej z roku 1901 o budowie dróg wodnych i protestuje przeciw wszelkim próbom zachwiania jednolitej i ustalonej w tej sprawie opinii publicznej kraju przez skierowanie uwagi ku szczegółom technicznym, które nie mogą w żadnym wypadku stwarzać pozoru do odrzucania sprawy natychmiastowej budowy dróg wodnych, ani do odstępywania od wykonania obowiązującej ustawy.

3. Krajowa komisya wykonawcza poleca wydziałowi naczelnemu poświęcenie całej uwagi sprawie ugody polsko-ruskiej, zebranie materyałów dla studyów do tej sprawy i pobudzenie opinii publicznej do czujnego przygotowania tego dzieła oraz współdziałania w pracach wstępnych, w tym celu przeprowadzenie ankiety za pośrednictwem tygodnika *„Życie"* i uproszenie do tej ankiety powołanych osobistości z obu narodów.

4. Polecono też wydziałowi naczelnemu, by do współdziałania w sprawach powyższych powołał koła miejscowe na prowincyi i powzięto cały szereg uchwał natury organizacyjnej i administracyjnej.

ZLOT SOKOŁÓW UKRAIŃSKICH odbył się 10 bm. we Lwowie. Około 5.000 sokołów, wyłącznie niemal włościan ruskich, wzięło udział w tej poważnej manifestacyi. Pochodem przez ulice miasta przeciągały w doskonałym ordynku drużyny z poszczególnych „Siczy", mieniąc się rozmaitemi barwami wstęg, przepasujących piersi i stanowiących przeważnie umundurowanie; tu i ówdzie rozjaśniał się pochód białą drużyną dziewczęcą. Wyglądali dziarsko i ochoczo, zachowywali się sforni i karnie. Tłumy publiczności polskiej z zaciekawieniem i sympatyą patrzały na te zastępy bratniego narodu; grupy ukraińców witały rodaków żywymi oklaskami i okrzykami „sła-

wno!“ Uderzał — rzecz to, której możemy pozazdrościć Ukraińcom — charakter „Sokoła“ ruskiego nawskróś ludowy, bijące w oczy zżycie się przywódców z ludem, z którego wyszli. Cechą młodej kultury ukraińskiej jest ten niezerwany związek z chłopem, z wsią ruską; pod tym względem niejednego nauczyć się możemy i powinniśmy od Rusinów.

Moskalofile z wściekłością rzucili się na sokołów ukraińskich, na polski rząd krajowy i na austryacki rząd centralny, że pozwalają na takie zjazdy... Pisma ich są teraz zachwytem zdjęte z powodu nowej pielgrzymki do Poczajowa i wizyty carskiej w Kijowie.

(S3) WRZENIE WŚROD KOLEJARZY. Ostatnie dni przyniosły zupełnie niespodziewane wiadomości, o ewentualności strejku kolejarzy austryjackich. Rząd ani społeczeństwo nie przypuszczały, aby pod spokojną, niczego nie zdradzającą codzienną szarzyzną życia pracowników kolejowych nagromadziło się tyle goryczy, abyśmy nagle mieli stanąć wobec groźby wstrzymania ruchu kolejowego. Organizacya kolejarzy zwołuje konferencye delegatów aby się zastanowić nad położeniem personalu, aby obmyśleć taktykę dalszej działalności, dla poparcia bytu kolejarzy. Na konferencyi zjawia się niebywała dotąd liczba około 600 delegatów, którzy z naciskiem podnoszą konieczność walki o lepsze warunki bytu, bo przy obecnie stale się wzmagającej drożyźnie środków żywności i mieszkaniowej, nietylko pracować, ale żyć nie można. Dotąd o strejku kolejowym nikt nie myślał, nie było też zupełnie w tym kierunku agitacyi, ale groźba ta podnosi się żywiołowo, wbrew woli przywódców organizacyi. Pracownicy kolejowi domagają się sami proklamowania choćby natychmiast najostrzejszych środków walki, gdyby rząd nie zaspokoił ich żądań i w tem leży cała doniosłość położenia.

Kolejarze to zawód rozrzucony po całem państwie oni są też niejako skrystalizowanem obliczem położenia olbrzymich mas robotniczych, i kto wie czy za kolejarzami nie pójdą te masy, aby złamać agrarną politykę rządu. Codziennie czytamy w pismach przerażające wiadomości o podrożeniu najkonieczniejszych artykułów spożywczych. Chleb, kartofle, cukier i t. d., codzienne strawy na stole rodziny robotniczej, bo mięso dziś już naprawdę należy do zbytków, drożeją do niebywałej wysokości, widmo nędzy i głodu zagląda do suteren i poddaszy, nic więc dziwnego, że spotykamy się z żywiołowymi odruchami w społeczeństwie. Jeżeli nie zmieni się kierunek polityki państwowej, jeżeli w niej nie będzie uwzględniony interes konsumenta, wtedy niedawne przewroty ngielskie znajdą i w Austryi naśladowców, niewykluczonem też jest powtórzenie groźnych rozruchów przeciwko drożyźnie we Francyi.

Nagromadzone na horyzoncie ekonomicznego życia chmury mogą przejść w groźną burzę. Zapowiedzi jej bardzo wyraźnie się zjawiają.

NOWY BUDŻET ROSYJSKI przedstawia się dla państwa nadzwyczaj korzystnie. Dług państwowy zmniejszył się w r. 1911 o 71 milion. rb. i wynosi „tylko“ 8.942 mil., z tego opłacenie procentów 375½ milion., rata 27½ mil. rb. Pożyczek nowych skarb nie zaciągnie, wycofane zostaną natomiast banknoty za 100 milion. rb. Dochód państwowy obliczono na 1061 milon. (o 15 milion. więcej. niż 1911). Najpoważniejszą pozycyę stanowi tu monopol wódczany: 743 milion. rb.

PO MIESIĄCACH MAMY Z PERSYI pierwszą pewną wiadomość z placu boju. Mimo liczebnej przewagi i zaopatrzenia w szybkostrzelne rosyjskie armaty została przednia straż exszacha pod samem Teher nem pobitą przez demokratów, a wódz jej, najzdolniejszy z reakcyjnych generałów Serdar Arszad przez rząd rewolucyjny rozstrzelany. Walka ta decydującego charakteru niema, Mechmed Ali pozostaje wciąż panem północnej Persyi, a w proklamacyach swoich grozi rzeziami ludności ormiańskiej, wspiejającej demokratów.

PODOBNĄ NEUTRALNOŚĆ jak Rosya wobec Persyi stosuje Hiszpania wobec Portugalii. Na jej terytoryum zgromadzili monarchlści 4—5000 armię zaopatrzoną w artyleryę i aeroplany i szykują się do wkroczenia do swej byłej ojczyzny. Rząd portugalski wysłał wojska nad granicą i wkrótce oczekiwać należy starcia.

WE FRANCYI spowodowała drożyzna rozruchy w wielu okolicach, szczególnie w Roubaix. Tłum rabował i niszczył sklepy, przyszło do budowy barykad, starć z wojskiem, popłynęła krew. Skutek został częściowo osiągnięty — dopuszczono dowóz żywności na razie z kolonii. Przykład może być zaraźliwym dla innych krajów.

ZATARG MAROKAŃSKI przeszedł wyraźnie w stadyum chroniczne. Wobec dość pokojowego usposobienia obu stron, szczególniej Francyi, niebezpieczeństwo wojny jest minimalne. Z trzech głównych punktów ugody dwa nie przedstawiają zbyt wielkich trudności: Niemcy godzą się na uznanie protektoratu francuskiego nad Marokiem, Francya gotowa jest oddać im większą część Konga z wyjątkiem pasu nadbrzeżnego. Niezałatwioną pozostaje sprawa żądań niemieckich nadania im (właściwie braciom Mannesmannom) uprzywilejowanego stanowiska ekonomicznego w Maroku, przyznanie owego czyniłoby cały protektorat bezwartościowym dla Francyi. Mało jest szans, aby Francya takie żądanie przyjęła i tu tkwi moment drażliwy który spowodował silne rozdrażnienie w sferach finansowych Niemiec, depresyę na giełdzie berlińskiej i run na banki w kilku prowincyonalnych miastach niemieckich. Krąży pogłoska, że dla wywarcia nacisku wycofali kapitaliści francuscy z Niemiec około 700,000.000 franków; suma ta musi być grubo przesadzona, operacya taka spowodowałaby bowiem ogromy krach. Panika w ostatnich dniach ustała i po obu stronach Wogezów góruje dziś nastrój optymistyczny.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowskiego 2. Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem.

Sekretarz redakcyi przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki między g. 3—4.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.

ROCZNIK XIII. WRZESIEŃ 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

Część pierwsza.

1. **(f).** Postępy sprawy narodowościowej.
2. **Dr. Edward Lewiński:** Socyologia Giddingsa.
3. **J. Waga:** Z zagadnień lewicy polskiej.
4. **Edward Grabowski:** Polityka społeczna w Europie a Austrya.
5. **Przegląd:**
   I. Sprawa Rapperswilska.
   A. **Bron. Urbański:** Sąd.
   B. **Dr. M. Sokolnicki:** Wyjaśnienie.
   II. **K. Este:** Endecya w roli likwidatora bojkotu szkolnego w Królestwie.
6. Sprawozdania.

Część druga.

1. **Tad. Nalepiński:** Książę niewolny. Prolog.
2. **J. Wład. Dawid:** O intuicyi w filozofii Bergsona.
3. **Miecz. Rettinger:** O trylogii Przybyszewskiego.
4. **Zygmunt Kisielewski:** Wędrowiec. Tryptyk.
5. **Zygmunt Malewski:** Artysta. Przekład z F. K. Ginzkeya.
6. **H. Sand:** O twórczości i życiu.
7. **Przegląd:**
   I. **(x)** Teatr krakowski.
   II. **Bol. Walewski:** O muzyce w Krakowie słów kilka.
   III. Sprawa rapperswilska. — C. Konkluzye.
   IV. **M. Skrudlik:** I. Wystawa niezależnych w Krakowie.
   V. **Tadeusz Bezimienny:** Ze sztuki i z życia.
8. Sprawozdania. Z badań historyczno-literackich. Z literatur obcych.

Dodatek artystyczny.

Jacek Malczewski: Portret własny. — **Włodz. Tetmajer:** Wietrzny dzień. — **Ksawery Dunikowski:** Studyum. — **Edw. Okuń:** Portret własny. — **L. Kowalski:** Dziewczynka. — **Al. Nowakowski:** Dziewczyna z różą.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi		zagranicą		w Król. i Rosyi
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	» 10	» 10	» 12	» 2·50	» 5
kwartalnie	» 5	» 5	» 6	» 1·50	» 2·50
Nr. pojed.	» 1·75	» 2			» 1

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, Stachowskiego 14.**